POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień. **Dnia 13-go września 1941r.** **Rok III. Nr. 37**

POEZJA PODZIEMI

W pierwszym numerze wrześniowym, poświęconym tragicznej kampanii polskiej, ogłosiliśmy wiersz "Raport" z "Antologii poezji współczesnej." Dziś chcielibyśmy zostać chwilę dłużej z tą malutką, niespełna 30-stronicową książeczką, wydaną konspiracyjnie w umęczonej i niezwyciężonej Warszawie. Chcielibyśmy ją podzielić między nas wszystkich, jak bolesną tajemnicę ,jak zaklęcie idące zza grobu, zza krawędzi mroku, "jak Komunię"—według słów jednego z zawartych w niej wierszy.

"Zdawało się, że czas stanął. Że
się nie posunie
Na przód. A wtedy krzyknął
skazaniec Chłapowski:
"Niech żyje Francja, Anglia i
zwycięstwo Polski!"
Przeżegnał braci . . . Wzięli tę
śmierć, jak Komunię."
/"Egzekucja w Środzie."/

Nie raz jeden i na stronicach tego tygodnika i w bratnich pismach obozowych znajdowało wyraz przeświadczenie, że to, co tu robimy, co tu myślimy, co czujemy jest o tyle tylko ważne, o tyle istotne i znaczące dla przyszłości, o tyle zgodne z sumieniem polskim, o ile jest zgodne z tym, co czują, myślą, czynią ludzie tam, na drugim brzegu niedoli.

W prasie żołnierskiej nie rzadkie były i są stwierdzenia, że to Kraj codziennym trudem ustala obowiązującą nas miarę moralną, wzór, nakaz, polski imperatyw etyczny.

"Cała prasa patriotyczna w Kraju—czytamy—opiera się na wartości moralnej jednostek, na wartości, która stała się jedynym miernikiem i jedynym kryterium przydatności człowieka. My pracą nad sobą musimy dorównać krajowi, by wrócić z zasobem tych samych wartości, które Tam wyszły na czoło, i podjąć obowiązki, jakie nałoży na nas po powrocie ciężka służba odbudowy."

To w piśmie żołnierskim także dano świadectwo pełnego poczucia rzeczywistości, jeśli stwierdzono:

"W tej pracy planowania przyszłej Polski winniśmy pamiętać o cyfrach. W kraju jest 30 milionów Polaków—nas zaś tu jest zaledwie kilkadziesiąt tysięcy. Z racji swego położenia oni, nie my—lepiej wyczuwają właściwe potrzeby Polski. Stąd płynie nakaz: rozważania swoje winniśmy stale korygować, w miarę możności, według myśli rozwijających się w kraju, a sami stale być powinniśmy czujni na wieści Stamtąd płynące."

To usta żołnierzа również wyraziły dobitnie prawdę, że jesteśmy tu tylko mandatariuszami narodu który nie może mówić, wyrazicielami jego postawy przed światem, wykonawcami jego woli walki:

"Polska to nie my—Polska to naród, który tam pod okupacjami pozostał, dla którego dziś walczyć i pracować musimy! Tylko po to tutaj jesteśmy! I kiedyś przed tym narodem zdawać będziemy za wszystko rachunek."

W lepszej, w odpowiedzialnej swojej części jesteśmy świadomi głębokiego i wielorakiego związania z Krajem. I dlatego ta książeczka wierszy, która tu z niego doszła, ma dla nas tak wielką cenę i tak zobowiązującą wymowę. Pozwala dotknąć serca, wsłuchać [illegible] puls tam- [illegible] należy- [illegible] i dotkliwy, aż raniący, aż rozdzierający opowiadają szczegóły walki o Warszawę, epizody prześladowczej, tępicielskiej furii wroga. Czuje się aż nazbyt dowodnie, że tam nie można uciec od prawdy rozgromu i od prawdy bezwzględnego, nieludzkiego ucisku. Że klęska i ucisk zapełniają cały obszar przeżywania, są codziennym doświadczeniem serca. Że jeśli nie można przed nim uciec, dźwiga się to podwójnie okrutne brzemię z zaciekłą wolą, patrzy się w oczy niedoli z nieulękłym uporem.

Ta poezja pobicia i ucisku jest niewiarygodnie prężna. Jest naprawdę i bez frazesu—poezją niezłomności. Wiara żołnierza—obrońcy Warszawy, który staje do raportu w rocznicę śmierci:—"Polska żyje! Na każdej ulicy, w każdym domu bój o Polskę trwa!"—brzmi z najgłębszego dna klęski, brzmi nieustannie, nieodparcie, żywiołowo:

"Warszawo!
A jednak w historii są też takie
chwile,
Kiedy się pada, lecz się nie
poddaje."
/"Aleje Jerozolimskie."/

"Chociaż czołgi przebrzmiały, choć
bomby przewyły,
I śmierć z dymem pożarów nad
miastem się przędzie—
Wróg nie przeszedł, nie zwalczył,
nie posiadł tej siły,
Barykady nie zdobył i jej nie
zdobędzie!"
/"Barykada."/

Pamięć porażki, świadomość rozpętanej przemocy przezwycięża się nie tylko wiarą, ale podwyższonym poczuciem zbiorowej, historycznej, biologicznej wspólnoty, jedności żywych i umarłych, nieprzerwanej ciągłości istnienia, silniejszej od wszystkiego.

"O, jak wielkie jest życia ludzkiego
pragnienie!
Żywi w grobach ukryci, a zmarli
z nich wstali . . ."
/"Powązki"/

"Choć ptak żaden nie śpiewa w
gałęziach jesionu—
Gdym się oparł oń czuję, jak
gra coś pod korą;
A skorom legł na trawie, zmysły
wszystkie chłoną
Dźwięk, którym ziemia tętni w
objęciach wieczoru.

Rozedrgały się wody, rozdzwoniły
nieba
I wtóruje im żywa, mazowiecka
gleba.

Lecz nie ja jeden słyszę: wy,
praojce moi,
Co przed pięciu wiekami na polach
Działdowa
Legliście z rąk Krzyżackich w
jasnej waszej zbroi—
W prochy wasze prąd życia
wstępuje od nowa,
I powstać pragną z dawna pożółkłe
piszczele.
Czy to na klęskę dzwonią? . . . O,
nie—na wesele!

I ty, dziadku, coś krótkie rozkazy
Cesarza
Rozwoził w czas niewoli po
polskiej dziedzinie—
Nie możesz już uleżeć w głuchocie
cmentarza,
Przez którą rytm miarowy
uroczyście płynie.
Usłyszałeś—i ciekaw dźwigasz się w
swej trumnie:
Twój cesarz dziś się wstydzi—lecz
ty słuchasz dumnie!

A ów żołnierz nieznany, co wtedy
we wrześniu
Łzami skrapiał przede mną oręż
porzucony,
On raduje się także tą wyroczną
pieśnią
Co wszystkie polskiej ziemi
rozbujała dzwony—
Jeśli żyje dotychczas, głos
wtargnie mu w uszy,
Jeśli zginął—poderwie skrzydła
jego duszy.
/"Pieśń ciszy."/

Ten uścisk polskiej solidarności ku przetrwaniu i ku zwycięstwu obejmuje tych, którzy już raz walczyli. Osobny dział: "Z Oflagów" zawiera utwory pochodzące niewątpliwie z obozów jenieckich, bo w nich tylko zdarzają się tony, w innych częściach tomu niespotykane: powściągliwego, gorzkiego humoru w "Balladzie o paczkach," czy akcenty zjadliwej ironii w wierszu o wszach.

Poczucie jedności, liryczne doznanie wspólnoty obejmuje także i—nas. My dla nich jesteśmy "z tamtej strony," na której się żyje, a nie trwa, na której oddycha się powietrzem wolności, na której się walczy bronią, a nie tylko zaciekłą wolą, na której świeci słońce i pod słońcem rośnie nadzieja. Symbolicznie tę jedność dokumentują trzy wiersze antologii: "Alarm," "Święty Boże" i "Żołnierz do matki," które stad przedarły się na drugą stronę, dla nas—"tamtą."

Cała ta książeczka ma więcej z książeczki do modlenia, więcej z ludowej broszurki z żywotami męczenników, niż z tomu wierszy. Zaczyna się wyznaniem wiary, kończy się suplikacją. Cała ona, narodzona w podziemiach i żyjąca w podziemiach płonie straszliwym, przepalającym patosem ofiary, woli i niezachwianej ufności. Wstępny wiersz, akt wiary, Credo w "Ojczyznę Wszechmogącą" i w "Jej synów, umęczonych za Prawo Człowieka"—wznosi się do napiecia, do tonu takiej czystości, takiej górności, do jakiego nie wzniosło się jeszcze żadne słowo naszej emigracyjnej poezji, żaden, lub niewiele, czynów naszej emigracyjnej rzeczywistości.

"Wierzę w Piekno Najwyższe,
Sprawiedliwość powszechną,
Narodów obcowanie,
Grzechów wzajemnych odpuszczenie,
Ducha zmartwychwstanie
I pokój wieczny. Amen."

Płomień czyści się w podziemiach, dźwięk się w nich natęża, jak nigdzie. To jest ogień, to jest głos Ojczyzny.

Tymon Terlecki

ULICA WARECKA

Szli rzemieślnicy, akademicy, robociarze,
burżuje i hołotą.
Zmizerowane i jeszcze syte twarze, mamine
synki i sierota

W sercu nieśli Warszawę i Polskę—bez
zbędnych słów

A na twarzach zakrzepły męski gniew
W rękach—miast karabinów—jeszcze łopaty
Psiakrew!!

I co dzień ich zbierała ulicka Warecka i co
dzień żegnała,
Mówiła jak matka do dziecka, wyprawiała,
gdy nad miastem syreny wyły,
Gdy nad miastem złe ptaki krążyły,
pociskami biły:
O . . o . . o . . Zzii . . iii . . bech! . .

Aż zapierało w piersi dech, aż serce przestawało
bić!
Nagle sypały się zewsząd szyby, łomot, huk,
trzask,
I ktoś zaczynał wyć: Aa . . aaaa . . .
I krzyk straszny, wrzask żywcem obdzieranego
ze skóry:
"Boże! Boże! Ty patrzysz z góry!"

Opadał dym i kurz, sypała się ulica Warecka w
gruz!
Płomienie wykwitały nad nią, jak sztandar
czerwony
I na wichrze powiewały—w owe dni wrześniowe,
Dni klęski i chwały! . . .

Świadek

EGZEKUCJA W WAWRZE

(Opowiadanie skazańca)

Nawpół ubrany, za kark wywleczony z willi,
Zbudzony wywaleniem drzwi i biciem w zęby,
Nie mogłem się dopytać, cośmy zawinili,
Ja i stu innych, brnących w śniegu do poręby.

Drut nas okolił, w oczy reflektor nas prażył,
Rzadkie choiny długim cieniem się dwoiły,
Opodal na drzwiach karczmy, wisielec otyły
Chwiał się, głowę spuściwszy, jakby spał
na straży.

On z nas wszystkich wydawał się najbardziej
żywy . . .
Czułem, stojąc na mrozie w spodniach i koszuli,
Że się pode mną ziemia, jak zziębły pies kuli.
Z odrętwienia mnie wyrwał świst lokomotywy.

Potem strzał, bieganina, przekleństwa i skowyt:
"Wojsko ludzi z pociągu wywleka!"
Folksdojcze
W cywilu liczą przy nas transport więźniów
nowych.
W lesie czyjś krzyk bezradny przyduszony:
"Ojcze!"

Były rodak wyjaśnił mi za co nas więżą:
"W szynku, o tam, gdzie wisi pod szyldem
właściciel,
Dwuch policjantów w kłótni uśmiercono świeżo.
Za dwuch Niemców—Polaków stu winno dać
życie.

Tak chce prawo. Do setki brakło kilkunastu
Więc liczbę uzupełnią podróżni z Warszawy.
Tym lepiej, bo się lekcję da i temu miastu
[illegible] zapas."—Tak zakończył eks-rodak łaskawy.

[illegible]m go z rozpaczą, lecz i z pewną ulgą:
[illegible] z Niemcami, gdy stosują terror.

Zbici w kupę na mrozie, czekaliśmy długo
Na egzekucję. Była po sądzie dopiero.

Natomiast sąd piorunem szedł. W urzędzie
gminnym
Rzucano nas kopniakiem na klęczki przed
sędzią,
A w chwilę później każdy uznany był winnym
I wiedział, że od razu rozstrzelany będzie.

W dziesięć minut dziesięciu nas pod ścianą stało.
Przy mnie był ktoś tak zbity na śledztwie
doraźnym,
Że mu usta i oczy wsiąkły w twarz nabrzmiałą.
Bez słów uściskiem ręki rzekł mi—bądź odważny.

"W tył zwrot"!—padła komenda niemiecka.
Nikt nie drgnął.
Więc nas siłą twarzami do muru zwrócili.
Wtem, przypomniałem sobie starą powieść
jedną
O powstańcu, co uszedł z pod kul, bo się schylił.

Schyliłem się: a właśnie zaszczekał kulomiot . . .
Upadłem, na mnie inni. I znów "erkaemem"
Po leżących przejechał szwabski pomiot.
Uczułem świdrujący ból w ramieniu lewem.

Potem nad każdym trupem stawał podoficer
I palił mu w łeb. Zanim kolej przyszła na mnie
Knułem, że kata milczkiem za gardło pochwycę,
Lecz omdlałem, gdym podnieść chciał
zranione ramię.

Pod kupą ciał stygnących, co mię ogrzewały,
Ocknąłem się. Przytomność powoli wracała.
Zmacałem potylicę, zranioną wystrzałem:
Cud! Kula przeszła wierzchem, czaszka była cała!

Mimo mrozu zrobiło mi się nagle ciepło:
Poczułem, żem się w męce trochę zadomowił.
Dobra myśl zaświtała w głowie pod krwią
skrzepłą
I wzleciała z otuchą ku Zbawicielowi.

On sam wie, ilem razy zemdlał i znów się cucił.
On mnie nawpół żywego z pod trupów wygrzebał.
By wiedzieli, że nawet z mogiły powróci
Świadek zbrodni, wyjącej o pomstę do nieba!

Tomasz

20 CZERWCA 1940 ROKU

"Niech na południe przedrą się resztki Polaków,
Co odwrót Francji z linii Maginota kryły,
Niech zaniechają dalszych szalonych ataków".
Taki rozkaz radiowe stacje ogłosiły.

Odpowiedź polska brzmiała: "Nie po to do
Francji
Przyszliśmy, by od Niemców odwracać się
tyłem!"
Czyn udzielił ich słowom wieczystej gwarancji,
W ataku poszli w wieczność przez własną
mogiłę.

Pod Besançon czy Kutnem, w Belgii czy
Norwegii
Nie cofali się nigdy, bo ciągle dokoła
Był wróg, więc dokądkolwiek szły polskie szeregi
Zawsze im—"Do ataku na przód!" rozkaz wołał.

W marszu zwycięskim z Polski i Francji
wyparci,
Obu ojczyzn za morze pójdą bronić dalej,
Po staremu na czołgi będą się rzucali
Choćby z butlą benzyny—pociskami darci.

Tomasz

[illegible] wiersze pochodzą z "Antologii poezji współczesnej," wydanej konspiracyjnie w Warszawie.

Umowa polsko-sowiecka w świetle prawa międzynarodowego

Jedną z cech znamiennych wojny obecnej jest niezwykle ożywiona działalność polityczna obu stron walczących. Gdy w czasie wojny poprzedniej długie, wielomiesięczne nieraz okresy wypełnione były tylko krwawymi zmaganiami, w czasie których jakakolwiek działalność dyplomacji zdawała się zupełnie zamierać, to charakterystycznym rysem wojny obecnej, wojny totalnej, jest, że każdej akcji wojskowej zdaje się odpowiadać właściwa akcja polityczna, dyplomatyczna i propagandowa.

Najnowszą fazą wojny politycznej jest oczywiście równanie frontu pomiędzy W. Brytanią z jednej, zaś Rosją Sowiecką z drugiej strony, to znaczy tworzenie odpowiednika politycznego dla wszczętych na wschodzie Europy działań wojennych. I jeżeli głębiej się wmyślę w motywy spotkania premiera brytyjskiego z predydentem Stanów Zjednoczonych na wodach Atlantyku, spotkania, które tak zelektryzowało opinię publiczną całego świata, trudno nie dojrzeć, iż było ono poświęcone przede wszystkim temu właśnie zagadnieniu. Stanowiło ono jakby ukoronowanie całego kompleksu aktów polityczno-dyplomatycznych, dokonanych uprzednio przez cały zespół państw prowadzących walkę przeciwko Trzeciej Rzeszy i jej wspólnikom.

Owo równanie frontu pomiędzy W. Brytanią oraz jej sojusznikami z jednej, zaś Rosją Sowiecką z drugiej strony wyznacza również historyczną funkcję umowy polsko-sowieckiej z d.30 lipca r.b. Stwierdzić trzeba, że ta strona sprawy nie była może dostatecznie brana pod uwagę nietylko przez tych, którzy z tych czy innych względów umowie się przeciwstawili, lecz i przez ogromną większość społeczeństwa polskiego na emigracji, zajmującą w odniesieniu do tej umowy stanowisko sprzyjające. Być może, że brak nam jeszcze dostatecznej perspektywy dziejowej niezbędnej dla należytego docenienia wagi tej umowy i jej miejsca w szeregu wydarzeń ostatniego okresu historii.

W pewnym związku z tym zagadnieniem politycznym znajduje się zagadnienie charakteru rzeczonej umowy z punktu widzenia prawa międzynarodowego. Na wstępie zaznaczyć należy, że kryzys polityczny, w który ludzkość została wtrącona z górą ćwierć wieku temu i który ciągle jeszcze daleki jest od przezwyciężenia, pociągnął za sobą niebywałe w dziejach świata cywilizowanego obniżenie powagi i prestiżu prawa międzynarodowego. Nie będzie nawet przesadą, jeśli powiemy, że ten kryzys polityczny jest właśnie kryzysem prawa międzynarodowego i że tak długo, póki nie uzyska ono stanowiska nienaruszalnych norm, regulujących współżycie narodów, nie może być mowy o prawdziwej stabilizacji w stosunkach międzynarodowych i zapanowaniu trwałego pokoju.

W stosunkach pomiędzy państwami, gdzie właściwie przymusowe wykonanie zobowiązań międzynarodowych możliwe jest tylko wyjątkowo, i to przeważnie w sprawach podrzędnego znaczenia, obawa, że zobowiązanie nie będzie honorowane, albo też, że umowa zostanie bezprawnie zerwana, może być częstokroć uzasadnione. Nie zaprzeczając więc pewnej bezsilności prawa międzynarodowego przestrzec jednak należy przed płytkim sceptycyzmem, bardzo szeroko ostatnio rozpowszechnionym, który sprowadza się po prostu niemal do całkowitego pominięcia strony prawnej w zagadnieniach międzynarodowych. Dla prawdziwego zrozumienia ważnych zagadnień polityki międzynarodowej konieczne jest jednak uwzględnienie i tej ich strony, niezależnie od strony politycznej, gospodarczej lub wojskowej.

Uwagi powyższe wystarczą zapewne, by uprzedzić zarzut, że rozważać będziemy stosunki pomiędzy rządem Rzeczypospolitej a rządem sowieckim ze stanowiska formy, litery, pozbawionego więc znaczenia praktycznego.

Zaczniemy od porównania niektórych postanowień umowy polsko-sowieckiej z d.30 lipca r.b. z postanowieniami umowy angielsko-sowieckiej, zawartej nieco wcześniej, bo 13 lipca r.b. Otóż artykuł pierwszy umowy angielsko-sowieckiej jest pod względem brzmienia niemal identyczny z artykułem trzecim umowy polsko-sowieckiej: przedmiotem tych postanowień jest wzajemne zobowiązanie kontrahentów udzielania sobie wszelkiego rodzaju pomocy w wojnie prowadzonej przeciwko hitlerowskim Niemcom. Tego rodzaju umowa międzynarodowa *jest z istoty swej umową sojuszu,* zakwalifikowaną przez teorię prawa międzynarodowego do grupy obszerniejszej umów współdziałania (*traités de société*).

Jakkolwiek taka czy inna klasyfikacja umów międzynarodowych nie posiada głębszego znaczenia, zwracamy tu na nią uwagę dlatego, że z pewnych względów ten charakter umowy polsko-sowieckiej był przez niektóre sfery podawany w wątpliwość. Wypowiedziany tu pogląd pokrywa się nie tylko z przesłankami teoretycznymi, ale i z opinią rządu W. Brytanii. Nazajutrz bowiem po dojściu do skutku umowy angielsko-sowieckiej, identycznej, jak już wskazano, w tej mierze z naszą umową, p. Churchill oświadczył o niej w Izbie Gmin: "Jest to oczywiście sojusz i naród rosyjski jest naszym sojusznikiem."

Zakres pomocy nie jest w samej umowie czy to polsko-czy angielsko-sowieckiej oznaczony i jest przedmiotem szczególnych porozumień. Wykonanie umów z dobrą wiarą wymaga, by każda ze stron udzieliła drugiej stronie wszelkiej pomocy w granicach swych możliwości (a więc np. bez narażania na szwank swej własnej obrony), jaka okaże się potrzebna dla odniesienia jak najrychlej zwycięstwa.

Prasa wyrażała niejednokrotnie wątpliwości odnośnie użycia wyrazów "Niemcy hitlerowskie," które wprowadzone zostały na życzenie strony sowieckiej w obu wzmiankowanych umowach i wyrażają pogląd polityczny rządu sowieckiego, iż do wojny obecnej doprowadził regime narodowo-socjalistyczny, jaki uzyskał władzę nad Niemcami i że wojna toczy się o jego obalenie. Nie jest to jednak ujęcie szczęśliwe i może się okązać niezbyt fortunne nawet dla jego projektodawców. Dla strony polskiej zresztą sprawa ta raczej pozbawiona jest głębszego znaczenia.

Umowa angielsko-sowiecka zobowiązuje kontrahentów do niezawierania zawieszenia broni lub pokoju inaczej, jak za obopólną zgodą. Odpowiedniej klauzuli nie ma jednak w umowie polsko-sowieckiej. Dla roztrząsania prawnego tej umowy obojętna jest kwestia motywów, dla których została ona pominięta. Podkreślić wszakże należy, że W. Brytania związana jest takim warunkiem wobec Polski (i rzecz prosta—wzajemnie Polska wobec W. Brytanii) na zasadzie umowy sojuszniczej z dnia 25 sierpnia 1939 r. Gdy więc takie samo zobowiązanie traktatowe istnieje z jednej strony między Polską i W. Brytanią, a z drugiej —pomiędzy W. Brytanią i ZSSR., wytwarza to węzeł prawny, nie pozbawiony dla Polski znaczenia dodatniego.

Oto w najogólniejszym zarysie —te czynniki umowy polsko-sowieckiej, które czynią ją ogniwem w łańcuchu traktatów, zespalającym wspólny front do walki przeciwko wspólnemu wrogowi. W ścisłym związku z umową sojuszniczą pozostaje artykuł czwarty umowy, stanowiący podstawę prawną dla tworzenia armii polskiej na terenie Rosji sowieckiej. Jest to więc w całym tego słowa znaczeniu armia Rzeczypospolitej, a nie część składowa sił zbrojnych ZSSR., armia formalnie zupełnie samodzielna, bo tylko pod względem operacyjnym z tymi siłami związana, podobnie, jak to miało miejsce z armiami aliantów na Zachodzie.

To, co dotychczas zostało powiedziane, nie wyczerpuje jednak całej doniosłości umowy z dnia 30 lipca. Nie mniejszą bowiem posiadają wagę te jej postanowienia, które ukształtować mają na nowo stosunki pomiędzy Polską i ZSSR. po tym wszystkim, co zaszło od września 1939 r. Treścią owych postanowień jest uznanie de jure rządu polskiego w Londynie przez rząd sowiecki. Znalazło ono swój wyraz w zawarciu umowy sojuszniczej i nawiązaniu stosunków dyplomatycznych.

Polskiemu czytelnikowi wydaje się rzeczą zrozumiałą samo przez się, że rząd nasz, uznany zresztą przez niemal wszystkie państwa świata, reprezentuje Rzeczpospolitą, mimo, iż terytorium jej znajduje się całkowicie pod okupacją wroga. Wszelako ze stanowiska prawa międzynarodowego uznanie de jure ze strony państwa, które stwierdziło we wrześniu 1939 r. (w przededniu przekroczenia przez wojska sowieckie granicy polsko-rosyjskiej), że ówczesny rząd zaprzestał sprawowania swych funkcji, posiada znaczenie, które zdaje się nie zostało przez społeczeństwo nasze dostatecznie docenione.

Pozostaje jeszcze do omówienia sprawa granic, która wywołała najwięcej nieporozumień. Jak przedstawia się ona w rzeczywistości?

Otóż jakkolwiek sprawa granic, t.j. wyraźne uznanie granicy ustalonej traktatem pokoju w Rydze nie jest umową lipcową uregulowane, to nonsensem było by utrzymywać, że umowa oznacza pośrednie choćby zrzeczenie się jakichkolwiek praw przez rząd polski. Wręcz odwrotnie — to strona sowiecka jest, formalnie biorąc, stroną czyniącą ustępstwa, *rezygnując w sposób zupełnie niedwuznaczny ze stanu prawnego, który po zajęciu części terytorium Rzeczypospolitej sama wytworzyła.* Odnośne obszary włączone zostały nie tylko pod względem faktycznym, ale i prawnym do ZSSR., otrzymując ustrój władz, przedstawicielstwo w Najwyższej Radzie Państwowej (sowiecka wszechzwiązkowa izba parlamentarna), stosownie do praw ustrojowych państwa Sowietów.

Uznając obecnie, że traktaty, zawarte pomiędzy Niemcami i ZSSR. odnośnie zmian terytorialnych w Polsce, utraciły moc prawną i znaczenie, przekreśla tym samyn rząd sowiecki swoje dotychczasowe stanowisko.

Nawiązując do tego, co wyżej zaznaczono o zakresie strony prawnej wydarzeń polityki światowej, trzeba podkreślić, że wprawdzie sprawa granic nie zostanie załatwiona drogą procesu prawnego, nie mniej jednak umowa stwarza prawny fundament dla jej należytego rozwiązania.

Przypomnijmy, że w związku z dotyczącymi postanowieniami umowy rząd W. Brytanii w nocie skierowanej do rządu polskiego stwierdził, że "nie uznaje żadnych zmian terytorialnych dokonanych w Polsce od sierpnia 1939 r."

Reasumując dotychczasowe nasze wywody stwierdzić należy, że poza korzyściami doraźnymi, jak zwolnienie jeńców polskich w Rosji, osób internowanych itp., możność zapewnienia opieki obywatelom Rzeczypospolitej przebywającym w Rosji, umowa z 30 lipca posiada olbrzymie znaczenie zasadnicze. Nie stanowi ona oczywiście ostatniego słowa w sprawie uregulowania granic, ani innych zagadnień, istotnych dla stworzenia podstawy dla przyjaznych stosunków polsko-sowieckich. Ale jest ona pierwszym i bardzo doniosłym krokiem, przybliżającym nas do tego celu, również i w sprawie odzyskania granic.

Stefan Ko-ski

Pozycja irańska w rękach Aliantów

Nie wiedzie się Hitlerowi na Bliskim Wschodzie. Powstanie w Iraku zlikwidowano szybko, Syria została utracona dla interesów osi, a obecnie wojska anglo-rosyjskie zajęły Iran.

Ta ostatnia przegrana, będąca zresztą prostym następstwem poprzednich jest dla planów hitlerowskich najbardziej dotkliwa. Odpada po pierwsze możność zagrożenia Baku od strony Iranu, możność, która jeśli wierzyć pismom sowieckim była bardzo bliska urzeczywistnienia. Dalej nafta irańska zostaje ostatecznie zabezpieczona dla Anglii i Rosji. Odpada możność nacisku niemieckiego na Turcję od strony Iranu; zamiast dławić się w cęgach niemieckich Turcja jest obecnie z trzech stron otoczona przez terytoria bloku brytyjskiego.

Wreszcie powstaje na Bliskim Wschodzie jeden wspólny front anglo-rosyjski. Wojska brytyjskie i sowieckie spotkały się na terytorium irańskim. Oznacza to nie tylko, że wojska brytyjskie będą mogły iść na odsiecz Kaukazowi w razie bezpośredniego zagrożenia. Ale oznacza przede wszystkim, że ta pomoc materiałowa, której Rosja dziś potrzebuje, nie będzie musiała iść daleką północną drogą przez Murmańsk, czy też przez Władywostok, ale znacznie bezpieczniejszą i bliższą drogą przez Iran .

Dziwnie się splata, że to właśnie w Iranie cementuje się przymierze anglo-rosyjskie. Iran bowiem był zawsze kością niezgody między obu mocarstwami. Na terenie Iranu Rosja carska i Anglia królowej Wiktorii i króla Edwarda VII najmocniej z sobą rywalizowały o "sfery wpływów." Dopiero na krótko przed wojną 1914 roku udało się wytrwałej dyplomacji ówczesnego ambasadora Wielkiej Brytanii w Petersburgu, Sir Artura Nicolsona, doprowadzić do układu, mocą którego Iran północny został uznany za sferę wpływów rosyjskich, a południowy angielskich. /Wówczas zresztą kraj ten nosił jeszcze nazwę Persji./

Układ ten stał się możliwy jedynie dlatego, że już wówczas Sir Artur Nicolson rozumiał, że istnieje jedno groźne niebezpieczeństwo, wspólne dla Wielkiej Brytanii i Rosji—niebezpieczeństwo niemieckie—i że wszelkie różnice należy wyrównać, by nie utrudniały w chwili decydującej wspólnego frontu.

W ogóle cała historia Iranu, która doprowadziła do tego, że stał się on bazą niemiecką jest dość dziwna. Przecież sam władca Iranu, szach Riza Khan Pehlewi, tron zawdzięcza w gruncie rzeczy Anglikom. To jenerał Ironside poznał się na młodym podoficerze kozaków perskich i w czasie rewolucji bolszewickiej postawił na niego, jako na człowieka, który skutecznie potrafi sie oprzeć bolszewizacji Persji. To z upoważnienia Anglii później Riza Khan, już jako wielki dowódca, zorganizował przewrót i usunął ostatniego szacha, który był jedynie skorumpowaną marionetką.

Marzyła się wtedy Rizie Khanowi rola Mustafy Kemala, wielkiego republikańskiego reformatora i cywilizatora Persji. Jednakowoż tych planów nie dało się w pełni przeprowadzić. Mustafa Kemal z Turcji zrobił państwo laickie, świeckie, wolne od wpływów duchowieństwa. W Persji pewne tylko reformy udało się przeprowadzić w tym duchu, lecz nie dało się złamać, usunąć wpływu duchowieństwa muzułmańskiego. Mustafa Kemal stworzył republikę. Riza Khan przekonał się po roku, że musi przyjąć tytuł szacha. Nie tylko zresztą tytuł. Zachował całą średniowieczną formę monarchii. Wszak na dwa lata przed wojną Iran zerwał stosunki dyplomatyczne z Francją, gdyż w jednym z pism paryskich ukazał się nieprzyzwoity dowcip, oparty na grze słów *Chah* i *chat* /szach i kot . . ./

Mimo wszystko europeizowanie Iranu postępowało na przód. Na uniwersytetach francuskich i szwajcarskich pełno było studentów perskich, stypendystów rządu. W polityce zagranicznej Iran zachowywał się nienagannie. Delegaci irańscy do Ligi Narodów wytrwali do końca przy idei bezpieczeństwa zbiorowego. Jeszcze w 1938 roku, kiedy prawie wszystkie państwa /Anglii i Polski nie wyłączając/ domagały się uznania, że obowiązek pomocy dla państwa napadniętego istnieć przestał—delegaci irańscy obstawali przy utrzymaniu tego obowiązku. Zawierając zaś pakt saadabadzki z Irakiem, Turcją i Afganistanem, Iran mocniej jeszcze podkreślił chęć przeciwstawienia się wszelkiej agresji.

Skądże więc ten Iran nagle stał się bazą hitlerowską? Odpowiedź na to można dać w dwóch płaszczyznach. Przywiązanie Iranu do idei bezpieczeństwa zbiorowego tłumaczyło się oczywiście tym, że Iran zdawał sobie sprawę z tego, iż sam przeciw sąsiadom obronić się nie potrafi. Tymi sąsiadami zaś były Anglia i Rosja, te państwa które w roku 1913 pogodziły się co do podziału Iranu na "sfery wpływów." Prawda, że Rosja bolszewicka formalnie zrzekła się wszystkich swych uprawnień w Iranie. Nota Mołotowa wyliczała szereg aktów świadczących, że Sowiety starannie likwidowały wszelkie pozostałości "wpływów" Rosji carskiej. Jednakowoż w Teheranie wciąż nie miano zaufania, czy apetyty rosyjskie istotnie znikły raz na zawsze.

Prawda także, że Wielka Brytania powojenna nie miała już żadnych apetytów imperialistycznych. Wyspy Bahrein jednak, na których jest nafta, pozostały pod protektoratem brytyjskim. A i stosunki z *Anglo-Persian,* z towarzystwem dzierżawiącym naftę irańską nie układały się najlepiej. Gdy zaś Persja zanulowała koncesje, Anglia wniosła sprawę na Ligę Narodów jako spór *polityczny.* Prawda, że po rokowaniach /prowadził je w imieniu Rady Ligi jako *rapporteur* Edward Benesz/ udało się Iranowi uzyskać korzystniejsze warunki koncesji, ale pewien osad gory[illegible] pozostał.

Gdy więc szło o uprze[illegible] nie Iranu to zwrócon[illegible] miec. Niemcy [illegible] warunki [illegible] nie [illegible] możność wykorzystania politycznego Iranu. Wiemy, co to są "eksperci" niemieccy. Gdy raz znaleźli się na miejscu, zaczęli powoli swymi mackami opanowywać cały kraj.

I tu przechodzimy na drugą płaszczyznę. W na pozór zeuropeizowanym Iranie pozostał rak toczący dawne państwo szachów, "bakszysz"—łapówka. Sam Riza Khan nie jest bez grzechu. Tak się jakoś złożyło, że jest on nie tylko panującym w Iranie, ale i najbogatszym obywatelem kraju; należą do niego hotele, przedsiębiorstwa przemysłowe i t.d. A między ministrami, czy jenerałami napewno znaleźli się tacy, którym argumenty brzęczące potrafiły przemówić do przekonania.

Poszły zresztą w ruch i argumenty ideologiczne. Ściągano młodzież do Niemiec i kształcono ją w duchu totalistycznym, pociągnięto część młodych oficerów. I tak powoli jaczejki hitlerowskie opanowały kraj.

Musiało się to skończyć. Wielka Brytania zdjęła dyplomatyczne rękawiczki i nie czekając aż Niemcy sami z Iranu uderzą, uprzedziła ich inicjatywę. Pan Goebbels bardzo się oburza i twierdzi, że jest to haniebne [illegible] wa międ[illegible] Niem[illegible]

Gdynia pod okupacją niemiecką

Barbarzyńcy ścinają krzyże

Gdyby Polacy w okupowanej Gdyni chcieli nawet podporządkować się niemieckim zarządzeniom, byłoby to w wielu wypadkach niemożliwe, większość rozporządzeń bowiem wzajemnie się ze sobą . . . kłóciła. Na przykład władze wojskowe zabroniły wchodzić nie tylko na dachy, ale nawet na strychy domów; nowa administracja miejska zaś poleciła w jak najkrótszym czasie pozdejmować z dachów wszystkie anteny /wszystkie aparaty radiowe zostały Polakom skonfiskowane/.

Władze wojskowe, administracja cywilna, policja mundurowa i Gestapo—każde z nich rządziło miastem na własną rękę, kłócąc się ze sobą, nie raz nawet publicznie. Szczególna niechęć—zdaje się na tle konkurencyjnym—istniała pomiędzy członkami S.S. i S.A.

Pewnego dnia, gdy przebywałem jeszcze w obozie koncentracyjnym—znajome panie przyniosły mi chleb oraz nóż kuchenny do krajania tego chleba. Posiadanie zaś noży, scyzoryków i nożyczek było specjalnie zabronione. Nie mogłem, ani przechować noża, ani go wyrzucić, ściągnęło by to bowiem podejrzenia na mych współtowarzyszy. Postanowiłem więc oddać go jednemu z pilnujących nas "S.A.-manów." I o dziwo—ten nie chciał zrazu noża zabrać. Zobaczył zbliżających się ku nam dwóch członków S.S., szepnął mi, bym zaczekał, aż oni przejdą i dopiero, gdy obaj "czarnogwardziści" (jak nazywano członków SS.) zniknęli za zakrętem—mój dozorca z S.A. odebrał nóż i schował go skrzętnie za cholewę buta.

Podobnie było w stosunkach pomiędzy Gestapo a policją mundurową. Z końcem września komendant okupacyjnej policji mundurowej złożył oficjalną wizytę . . . dziekanowi dekanatu gdyńskiego Teodorowi Tuszyńskiemu /byłem wówczas w mieszkaniu ks. kanonika otrzymałem więc szybko dokładną relację z tej wizyty./ Szef policji niemieckiej m.in. "uroczyście przyrzekł" duszpasterzowi gdyńskiemu zwolnienie kilku aresztowanych księży, swobodę odprawiania nabożeństw, w ogóle . . . "troskliwą opiekę". Tego samego dnia gestapo osadziła w więzieniu nową grupę księży, a w dwa dni później również ks. kanonika Tuszyńskiego. W kilka tygodni później—także na rozkaz Gestapo—rozstrzelano go.

W tydzień zaś po wizycie komendanta policji rozpoczęła się otwarta walka już nietylko z klerem katolickim, ale i z religią. Wpierw więc ścięto w mieście wszystkie krzyże, m.in. znany wielki krzyż na szczycie Kamiennej Góry oraz usunięto wszelkie figury Świętych i przydrożne ołtarzyki. Krzyż Misyjny, który stał przy wejściu do Kościoła Najświętszej Marji Panny ścięto w chwili, gdy w świątyni odbywało się . . . nabożeństwo różańcowe.

Na profanacje te Gdynianie zaprotestowali . . . religijną demonstracją. Resztki ściętych Krzyży i usuniętych figur zasypywali kwiatami, ozdabiali obrazami Świętych, tworząc prowizoryczne ołtarze, przy których całe dnie tłumy modliły się na klęczkach.

Z kolei nastąpiło ograniczenie liczby nabożeństw, cenzurowanie kazań oraz "skorygowanie" tekstów polskich modlitw. M.in. w okresie nabożeństw różańcowych przy odmawianiu litanii do Najśw. Marii Panny nie wolno było wymawiać zwrotu "Królowo Korony Polskiej."

Także walka z religią wskazuje, że Gestapo nie uzgadniała swych planów z władzami administracyjnymi miasta, te ostatnie bowiem, dążąc do pozyskania głęboko religijnego ludu kaszubskiego, zagwarantowały mu całkowitą swobodę wyznania, praktyk religijnych a nawet zwolnienie aresztowanych księży. Kaszubi w swej większości widząc potem, że czyny nie pokrywają się z obietnicami, rozpoczęli z okupantami ukrytą walkę, mimo iż Niemcy udzielili im szeregu bardzo poważnych — z punktu widzenia niemieckiego — "przywilejów" natury politycznej i gospodarczej. M.in. Kaszubów uznano za "Volksdeutsche," nie konfiskowano im majątków, a później wyłączono z t.zw. "planu ewakuacyjnego."

Te różnice zdań pomiędzy poszczególnymi władzami okupacyjnymi trwały tak długo . . . póki Gestapo nie zdołała ostatecznie opanować wszystkich dziedzin życia w mieście. Z tą chwilą rozpoczyna się bardziej ponury okres życia Gdyni, okres, trwający jeszcze po dziś dzień.

Pretekstem do rozpoczęcia niesłychanego teroru była wizyta Hitlera i Goeringa. Wizyta ta stanowiła—zdaniem gestapowców—krok bardzo ryzykowny. Gdynia była wówczas jeszcze miastem w stu procentach polskim. Prócz wojska okupacyjnego nie było nikogo, kto by mógł "entuzjastycznie powitać wodzów."

Ale od czegóż jest Gestapo? Rozpoczęto więc "przemalowywanie" miasta. Gdynia otrzymała nową nazwę . . . Gotenhaven. Następnie przechrzczono większość ulic. Ulicę 10 lutego nazwano Hermann Goering Strasse, ulicę Świętojańską—Adolf Hitler Strasse. Podobnie usunięto polskie nazwy na gmachach, sklepach, słupach i t.d. Większość budynków poobwieszano olbrzymimi płachtami ze swastyką. Zewnętrznie miasto nabrało pozornie niemieckiego wyglądu. Ale mieszkańcami byli wciąż jeszcze tylko Polacy. . .

Należało więc z kolei załatwić się z ludźmi. Kto jeszcze z pośród "niebezpiecznych" Gdynian znajdował się na wolności powędrował do obozu. Dla pozostałych zaś na kilka dni całkowicie zamknięto dostęp do tych ulic i placów, którymi mieli przejeżdżać "wodzowie." A na kilka godzin przed "uroczystym" wjazdem dygnitarzy setki agentów Gestapo nachodziło mieszkania położone przy głównych ulicach usuwając mieszkańców z pokoi od strony ulicy.

Gestapowcy odwiedzili również moje mieszkanie przy ul. 10 lutego. Leżałem wówczas w łóżku, chory na zapalenie płuc /którego się nabawiłem, więziony dniem i nocą w zimną deszczową pogodę i bez cieplejszego okrycia na . . . korcie tenisowym./ Ponieważ jako ciężko chorego trudno mnie było "na poczekaniu" usunąć z mieszkania, zezwolono mi wyjątkowo pozostać w łóżku, zabraniając jednak zbliżać się do okna, które musiało być zasłonięte.

Później wyjrzałem dyskretnie przez okno. Przed moim domem, twarzą do okien stało 5 żołnierzy, z ręcznymi karabinami maszynowymi gotowymi do strzału. W ten sposób pilnowano całego miasta. A "wodzów" prócz wojska okupacyjnego i policji, witała młodzież . . . zwieziona samochodami ciężarowymi z Gdańska. . . .

Tymczasem teror zwiększał się z dnia na dzień, a wraz z nim odporność społeczeństwa polskiego, które—mimo wszelkich zarządzeń i represji—nadal jawnie manifestowało swój patriotyzm. W kościele śpiewano polskie pieśni, choć tego nie było wolno, na ulicy, w lokalach publicznych, w urzędach mówiono tylko po polsku, choć już i tego zakazano.

Najsilniej zaś zaprotestował przeciw zaborcy robotnik gdyński. Z początkiem października przy ul. Wielkopolskiej w Orłowie czterech żołnierzy, patrolujących tę dzielnicę miasta, zatrzymało pewnego robotnika Polaka z Małego Kacka. Zażądali od niego dokumentów. Gdy potem zajęci byli studiowaniem papierów, robotnik błyskawicznym ruchem wyciągnął z za pasa jednego z żołnierzy dwa granaty i odbezpieczywszy je szybko rzucił sobie pod nogi. Eksplodujące granaty zabiły robotnika—bohatera, ale razem z nim zginęła cała czwórka kontrolujących go żołnierzy.

Poległy robotnik dał Niemcom odpowiedź Gdynian. I okupanci zrozumieli, że można zmienić polskie nazwy miasta, że można przemalować domy, ulice, ale nigdy nie uda się przemienić duszy społeczeństwa gdyńskiego. Dlatego ukuli szatański plan przymusowego usunięcia z miasta blisko 130 tysięcy Polaków.

Wiesław Waligórski

* Por. pierwsze artykuły tego cyklu: "Obozy koncentracyjne" druk. w nr. 19, "W szponach Gestapo" druk. w nr. 20, "Martyrologia Polaków w Gdańsku," druk. w nr. 21, "Nie gorzej od Al Capone'a" druk. w nr. 25 i "Przymusowa ewakuacja ludności polskiej" druk. w nr. 26 "Polski Walczącej." Niniejszy artykuł zamyka cykl.

Stosunki kulturalne czesko-polskie w XIX-ym wieku

IV.

Rok 1848 zbliżał się w Czechach w warunkach pełnego wykształcenia myśli politycznej. W tej "wiośnie ludów" każdy naród uciemiężony upomniał się o swoją wolność polityczną, lecz zarazem wszystkie inne upomniały się o swoje prawa ludzkie i obywatelskie u tych, którzy nimi rządzili. Na tle właśnie tej podwójnej demonstracji zaszły w tej części Europy poważne zawikłania, które odbiły się na stosunkach polsko-czeskich pośrednio, a na stosunkach polsko-słowackich w szczególności.

W stosunku do Wiednia Polacy zajęli stanowisko ludu uciśnionego, upominającego się o swoje prawa, choć w samej Galicji—po krwawych rozruchach chłopskich—nie było żadnych demonstracji wojskowych, natomiast wystąpili czynnie w szeregach węgierskich. Pociągnęło to za sobą mimowolne wystąpienie przeciw Słowakom, którzy wzburzyli się przeciw uciskowi madziarskiemu. To mimowolne znalezienie się Polaków i Słowaków w przeciwnych obozach, zaciążyło w przyszłości na wzajemnych stosunkach, a nawet jeszcze ostatnio wytykano to Polsce na dowód przychylnego ustosunkowania się do Węgier.

Zjazd wszechsłowiański w Pradze odbył się na Zielone Świątki 1848 r. Ze strony polskiej wzięli w nim udział przedstawiciele Galicji, Poznańskiego i Śląska Cieszyńskiego. Podkreślić warto, że początkowo delegaci ze Śląska zostali włączeni do grupy narodowej czeskiej na podstawie historycznej przynależności tej ziemi do korony św. Wacława. Jednak po wyjaśnieniach, na podstawie przynależności etnicznej, zostali przeniesieni do grupy polskiej.

Zjazd praski był odpowiedzią na zjazd wszechniemiecki we Frankfurcie, właśnie ze względu na swój słowiański charakter. Ale właściwie był zjazdem Słowian, wchodzących w skład monarchii austriacko-węgierskiej. Zajmować się ma więc nie tylko zagadnieniami słowiańskimi, lecz także—a raczej głównie—sprawami, dotyczącymi udziału Słowian w rządach samej monarchii. Nie chodziło o całkowitą niepodległość polityczną, czy o rozbicie państwa, lecz o walkę o własne prawa obywatelskie i narodowe w ramach monarchii.

Zjazd jednak nie dał żadnych wyników, bo nawet nie skończył swoich obrad i został rozwiązany pod naporem atakujących wojsk austriackich. Na przyszłość też nie zostawił po sobie żadnej szerszej koncepcji ogólnosłowiańskiej, ani nie wpłynął na układ stosunków w Austrii, ale stał się świadectwem dojrzałości politycznej ludów słowiańskich i krokiem na przód w rozwoju ich polityki.

Rok 1848 w Austrii był więc okresem, kiedy żądania jej ludów stawały się czynnikiem rozbijającym, nie tworząc przy tym żadnych nowych związków. Od tej pory też w stosunkach polsko-czeskich widać co raz większe rozchodzenie się dróg.

Na Śląsku Cieszyńskim rok 1848 przyniósł jakby oficjalne potwierdzenie polskości tej ziemi. Rząd wiedeński zgodził się bowiem wtedy na wprowadzenie podręczników polskich do szkół miejscowych, zgodnie z wolą tamtejszej ludności. Przeniesienie też delegatów ze Śląska z grupy czeskiej do polskiej na zjeździe praskim dowodzi, że i Czesi tę polskość uznawali. Ale wtedy Śląsk był zwykłym sobie zakątkiem rolniczym, którym nikt się specjalnie nie interesował, a na jego terenie nie było mas ludności napływowej, szukającej zarobku, a jedynie osiedla miejscowych rolników, siedzących na swoich ojcowiznach i po kilkaset lat.

Od tej pory zaczyna się jednak rozwój uświadomienia narodowego Ślązaków. W r. 1851 zaczyna wychodzić w Cieszynie pierwsza polska gazeta; była to zarazem pierwsza gazeta na Śląsku Cieszyńskim. A sam Cieszyn staje się w tym czasie—choć na krótko—ośrodkiem styczności kulturalnej polskiej, słowackiej i czeskiej.

Po r. 1848 następuje w Austrii ostra reakcja, która przez tępienie wszelkiej swobody myśli przyczynia się także do oziębienia stosunków polsko-czeskich. Zresztą już wówczas można było się spodziewać, że tak Polacy jak i Czesi pójdą odmiennymi drogami.

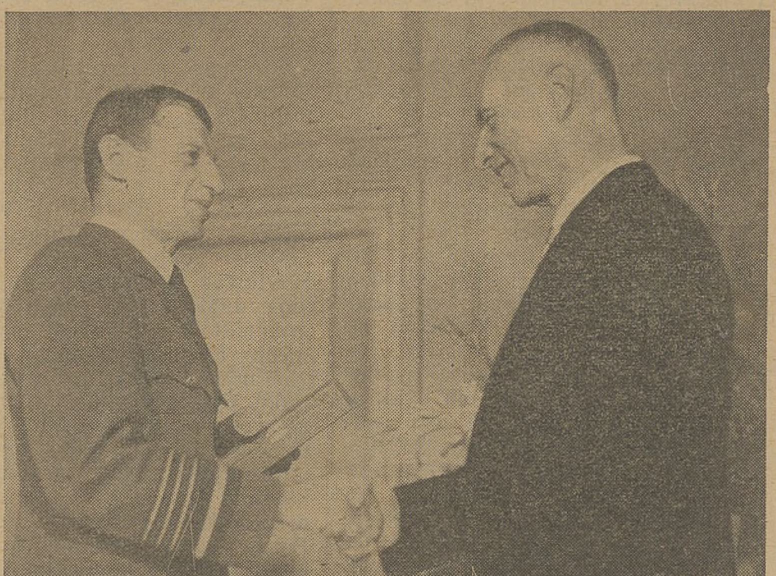
Ale wystąpiło to jaskrawo dopiero w r. 1863, a więc w okresie powstania styczniowego. W Pradze spowodowało ono prawdziwy rozłam. Większość społeczeństwa potępiła powstanie, zarzucając Polakom, że nie chcąc pogodzić się z Rosją, niweczą nadzieje urzeczywistnienia jedności słowiańskiej. Druga część społeczeństwa opowiedziała się po stronie powstania, stając na stanowisku walki o wolność przeciw ciemiężycielom. Tak samo Słowacja była raczej przychylnie nastawiona do sprawy polskiej.

Wewnętrzny konflikt czeski, wywołany przez powstanie, miał jakby dwie postacie. Jedna z nich dotyczyła nadziei pomocy rosyjskiej przeciw Austrii, druga stawiała wyżej tak popularne już wówczas w Czechach hasła praw człowieka i wolności narodowej, głosząc, że uciemiężony nie może nigdy pogodzić się ze swoim ciemiężcą.

Konflikt ten był tak głęboki, że w swych skutkach doprowadził do powstania w r. 1874 stronnictwa młodoczeskiego, które nie miało już jednak nic wspólnego ze sprawą polską, a było oparte na czeskich stosunkach wewnętrznych. Było ono wyrazem politycznej walki ze stronnictwem starszych, wywodzących się jeszcze ze szkoły Palackiego.

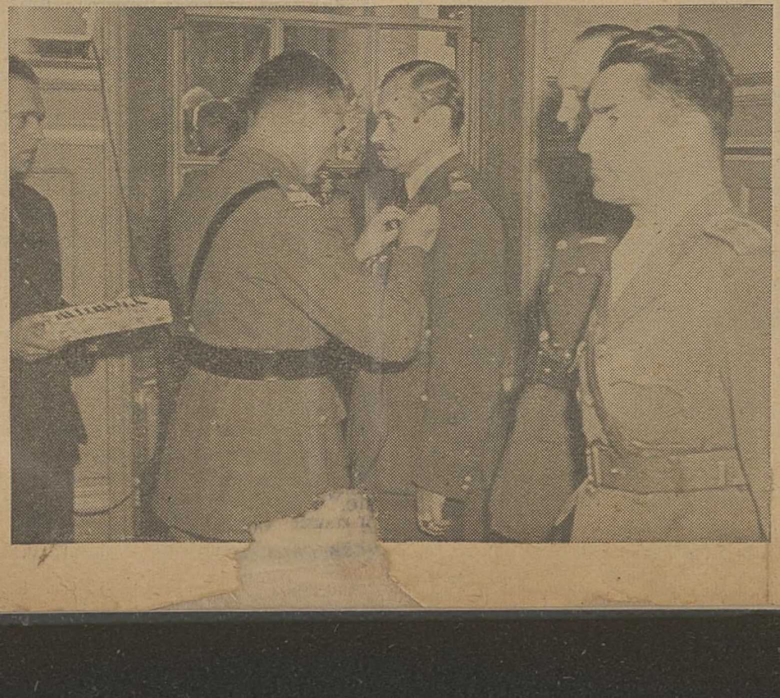
Jan Miszewski

Por. nr. 19, 20 i 21 "Polski Walczącej."



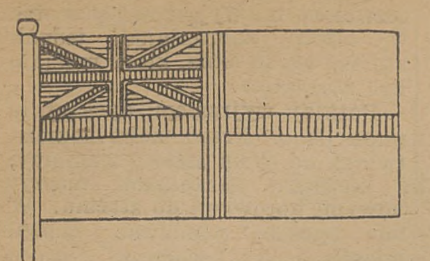
W pierwszych dniach września odbyła się w Londynie uroczystość dekoracji oficerów brytyjskich odznaczeniami polskimi. Dekoracji dokonali Prezydent R.P. i Naczelny Wódz. Wśród dekorowanych było sześciu najwyższych dowódców wojska Wielkiej Brytanii: m.i. Szef Imperialnego Sztabu Głównego Sir John Dill i Dowódca Imperialnych Sił Lotniczych Sir Charles Portal. Wszyscy oni zostali odznaczeni orderem Odrodzenia Polski. Ponadto członkowie brytyjskiej Misji Wojskowej w czasie kampanii 1939 roku w Polsce otrzymali z rąk Generała Sikorskiego Krzyż Walecznych.

Zdjęcie przedstawia P. Prezydenta R.P. Wł. Raczkiewicza i Sir Charles Portal'a.

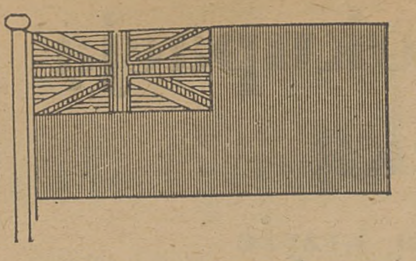


Rocznica kampanii wrześniowej jest także rocznicą pierwszego formalnego aktu polsko-czechosłowackiej współpracy wojskowej—dekretu Prezydenta R.P., powołującego do życia Legion Czechosłowacki na ziemiach polskich do walki ze wspólnym wrogiem obu narodów. W drugą rocznicę tego aktu—2 września—Szef Sztabu Naczelnego Wodza udekorował w Jego imieniu Krzyżami Walecznych dowódcę Legionu Generała Prchalę, siedmiu oficerów i pięciu szeregowych, oraz odznaczył pośmiertnie dwu innych, którzy polegli w Polsce.

Zdjęcie przedstawia chwilę, w której Szef Sztabu N.W. dekoruje Generała Prchalę.



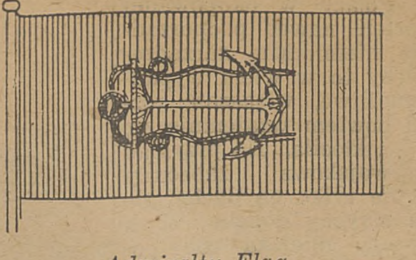
Biała bandera (okrętów wojennych)



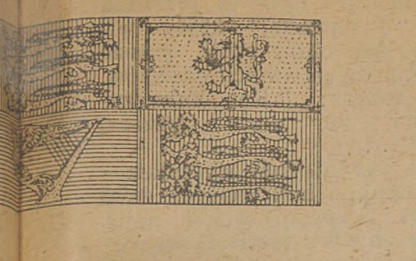
Niebieska bandera (Royal Naval Reserve)



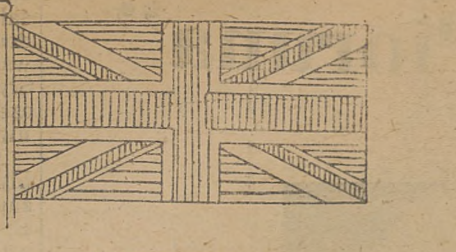
Czerwona bandera (statków handlowych)



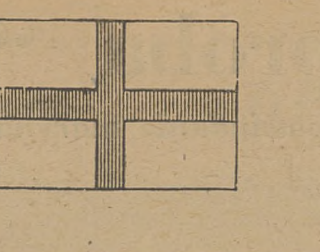
Admiralty Flag



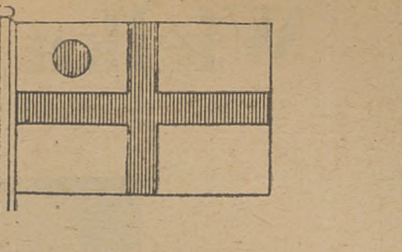
Bandera Królewska



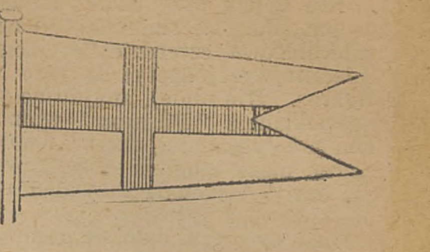
"Union Jack"



Znak admiralski



Znak wiceadmiralski



Znak "commodore (dowódcy dywizjonu)

POTĘGA MORSKA WIELKIEJ BRYTANII

II.*

ZAŁOGI BRYTYJSKIEJ FLOTY WOJENNEJ

Na wartość floty Wielkiej Brytanii składają się, więcej jeszcze, niż materiał i doświadczenie techniczne—zalety moralne i wyszkolenie fachowe jej załóg. Z tego punktu widzenia nie wiele marynarek świata posiada personel lepiej rekrutowany, lepiej wyćwiczony i lepiej dobierany, niż marynarka brytyjska.

Na te wysokie walory składają się zarówno korpus oficerski, korpus podoficerski, jak i zespół marynarzy zawodowych, zaciężnych i rezerwowych.

Korpus Oficerski jest naprawdę Korpusem Ludzi Wybranych o surowej i bezwzględnej selekcji. Większość oficerów wychodzi ze Szkoły w Dartmouth. Trzy razy do roku w styczniu, w maju i we wrześniu odbywa się przyjmowanie do słynnej szkoły. Kandydaci zdają ostry egzamin konkursowy. Po 3 latach szkoły kadeci są mianowani na stopień "midshipman." W Dartmouth nauka trwa 7 lat, a wchodzą do niej uczniowie w wieku mniej więcej 13 lat. Po 7 latach nauki internatowej na lądzie uczniowie idą małymi grupkami na praktykę morską na królewskich okrętach, skąd dopiero dostają się do szkół specjalnych, wyższych.

Inni kandydaci na oficerów są poddawani egzaminowi konkursowemu w 17 roku życia. Przyjęci, zaokrętowani są zaraz na 18 miesięcy na okręt szkolny "Vindicative." Poczem zmieszani z uczniami, którzy wychodzą ze szkoły w Dartmouth, dalsze studia odbywają razem z nimi.

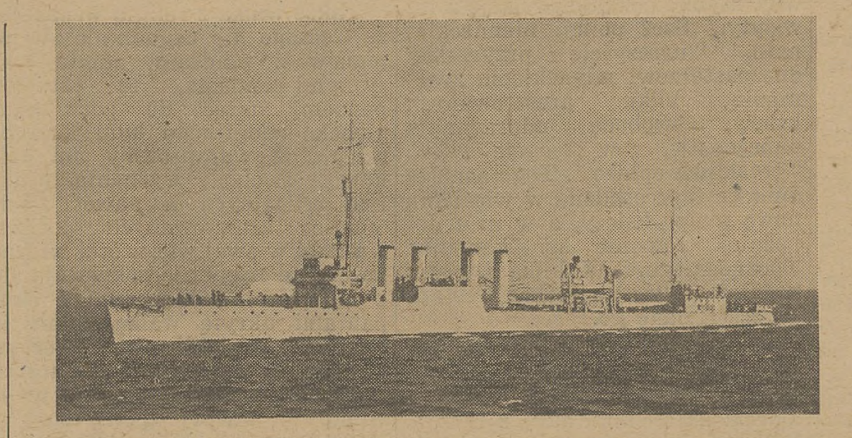
Aby zaakcentować związki istniejące między marynarką królewską i marynarką handlową niektóre rodzaje oficerów są rekrutowane z pośród uczniów statków szkolnych "Worcester" i "Conway," czy też z Morskiej Szkoły Nawigacyjnej w Pangbourne. Również niektórzy z tych ostatnich od czasu do czasu są awansowani na oficerów w miarę zasług i stopnia inteligencji.

Kariera dla oficera Marynarki Królewskiej jest otwarta zawsze jako kariera szybka i w stosunkach społecznych brytyjskich świetna. Awanse są prędkie aż do stopnia *Lieutenant-Commander* włącznie, który się osiąga około 30 roku życia. Komandorem zostaje się około 36—37 roku życia. Wybrani oficerowie zostają *Captain* (według polskich stopni: komandorem) około 40 roku życia. Pomiędzy więc innymi plusami te szybkie awanse pozwalają na komponowanie wyższych dowództw z oficerów jeszcze młodych i pełnych energii, a powierzanie im pełnej odpowiedzialności, nie obarczonej biurokratyzmem i strachem przed decyzją, daje znakomite wyniki.

Od oficera Marynarki Królewskiej wymaga się wysokich kwalifikacji moralnych. Jego pozycja społeczna jest wysoka, a mundur *Royal Navy* daje prawo wstępu do każdego towarzystwa, nawet najbardziej zamkniętego.

Jednakże selekcja do "kapitana" włącznie jest bardzo ostra, nie tylko dzięki wielkiej ilości egzaminów konkursowych, nie tylko dzięki wysokim wymaganiom fachowym, ale również (i przede wszystkim) dzięki bardzo wysokim wymaganiom etycznym i koleżeńskim. Pojęcie gentelmana jest stosowane w całej rozciągłości. Słowo ma walor czynu. Człowiek, który obiecuje, a nie dotrzymuje, człowiek, który kłamie czy blaguje, człowiek, który zdradza słabość charakteru, który zdradza swoich przyjaciół, który jest sobkiem, który idzie przebojem, "po trupach" w swojej karierze, który przeprowadza rozgrywki osobiste—nie może być oficerem królewskiej marynarki wojennej. Jeśli bowiem zwierzchność nie pozna się na nim to koledzy wyeliminują go w sposób szybki i radykalny.

Tak samo, jak głębsze kwalifikacje etyczne konieczne są, aby służyć w marynarce królewskiej, tak samo obowiązuje w całej rozciągłości kodeks takiego postępowania zewnętrznego, aby w żadnym wypadku oficer "nie tracił twarzy" wobec zwierzchników, kolegów i podwładnych, oraz postronnych osób w najcięższych nawet chwilach.



Jeden z kontrtorpedowców amerykańskich przekazanych przez U.S.A. Wielkiej Brytanii

Czy można się dziwić, że przy takim korpusie oficerskim flota brytyjska w każdym z dotychczasowych spotkań była zwycięska? Czy dziwić się można, że brytyjski korpus oficerski cieszy się w kraju i w Dominiach szacunkiem i miłością?

Tacy oficerowie dowodzą załogami złożonymi z ludzi wybieranych. Na wartość tych załóg składają się liczne przyczyny. Po pierwsze: kto chce służyć w marynarce królewskiej—służy z własnej ochoty. Nie istnieje dziś żaden system rekrutacji przymusowej, chyba na statkach zmobilizowanych do służby pomocniczej. Po drugie Admiralicja ma wszelkie ułatwienia dla przeprowadzenia ścisłej selekcji, tak fizycznej jak i moralnej. Ilość kandydatów ochotników do służby w Marynarce w stosunku do ilości miejsc na okrętach była i jest bez porównania większa, niż potrzeba.

Tak na przykład w r. 1935 w pierwszym kwartale na 3.726 wakansów we flocie było 25.459 kandydatów. Selekcja ta polega jednak nie tylko na wyborze, ale i na bardzo długiej i uciążliwej służbie. Zaciąg we flocie trwa normalnie 12 lat służby bez przerwy, z ułatwieniem do zaangażowania się na dalsze 10 lat. Tak więc służba przeciętnego marynarza brytyjskiego trwa 22 lata. 65 procent marynarzy brytyjskich służy właśnie w ten sposób. Służba ta przechodzi prawie cały czas na okręcie, dając możność znakomitego opanowania tak morza, jak i swojej specjalności.

Pomimo, że dyscyplina we flocie brytyjskiej jest bardzo ostra i wymagająca, wypadki osądzenia za brak karności są bardzo rzadkie. Pochodzi to nie tylko z umiejętności postępowania oficerów, ich taktu, umiarkowania, lecz ze wspaniałego ducha marynarzy brytyjskich. Żadna propaganda rewolucyjna nie istnieje we flocie brytyjskiej. Fakty sabotażu, o których czytaliśmy przed wojną w gazetach, były dziełem tylko i jedynie płatnych agentów Hitlera. Każdy z marynarzy może zostać nie tylko podoficerem, lecz również "oficerem załóg" (warrant officers). Grają oni rolę bardzo ważną. Na przykład na takim "Nelsonie" służy nie mniej niż 17 "warrant officers" i 17 "commissioned warrant officers," liczba równa oficerom morskim.

PIECHOTA MORSKA (MARINES)

Żołnierze piechoty morskiej są zarazem i marynarzami i żołnierzami desantowymi. Mają oni specjalne mundury i przywileje, dzieląc los i niebezpieczeństwa marynarzy prawdziwych.

Korpus piechoty morskiej został założony już w XVII wieku z rozkazu króla Karola II-go, jako [illegible] załoga okrętów. Od tych czasów brał udział we wszystkich wojnach, które Anglia prowadziła. W r. 1797, gdy w marynarce angielskiej wybuchł największy w jej historii bunt, nie tylko nie przyłączył się do zbuntowanych marynarzy, ale po ciężkich walkach przywrócił we flocie porządek i dyscyplinę. Na pamiątkę tego ich czynu mają żołnierze tego korpusu ciekawy przywilej. Mianowicie mają prawo pozostawać z nakrytą głową, gdy odczytywany jest na pokładzie wyrok, skazujący marynarza, którego odczytywania wszyscy oficerowie, zdejmując dotąd czapki, muszą słuchać z obnażoną głową, stojąc na baczność. Również na pamiątkę ich wierności kabiny i pomieszczenia piechoty morskiej znajdują się między kabinami oficerów marynarki i pomieszczeniami załogi.

Żołnierze piechoty morskiej są rekrutowani z zaciągu ochotniczego. Aby się dostać do piechoty morskiej młody Brytyjczyk musi się poddać licznym próbom selekcyjnym. Po przebyciu pierwszych ćwiczeń w Deal zostaje przydzielony do jednej z trzech dywizji w Plymouth, Portsmouth lub Chatham. Dywizje te dopiero uzupełniają oddziały piechoty morskiej na pancernikach, krążownikach bojowych, lotniskowcach i krążownikach.

Na pokładach okrętów piechota morska stanowi część integralną załogi i poddana jest wszystkim głównym obowiązkom marynarzy. Tak jak marynarze podzielona jest ona na oddziały burtowe i na dywizjony, tak jak marynarze ćwiczona jest we wszystkich podstawowych czynnościach służby pokładowej.

Podczas boju piechota morska stanowi przede wszystkim obsadę jednej lub kilku wież artyleryjskich (każdy z żołnierzy piechoty morskiej otrzymuje pełne wyszkolenie kanoniera). Zasadniczym jednak zadaniem piechoty morskiej jest akcja desantowa i w tej umiejętności szybkiego i sprawnego załadowywania się, wyładowywania, lądowania i t.p. ćwiczona jest we wszystkich możliwych odmianach. Podczas walk w Norwegii i podczas załadowywania się w Dunkierce, w Grecji i na Krecie Piechota Morska odegrała olbrzymią rolę, nie tylko organizując załadowanie, lecz również formując oddziały osłonowe.

REZERWY MARYNARKI

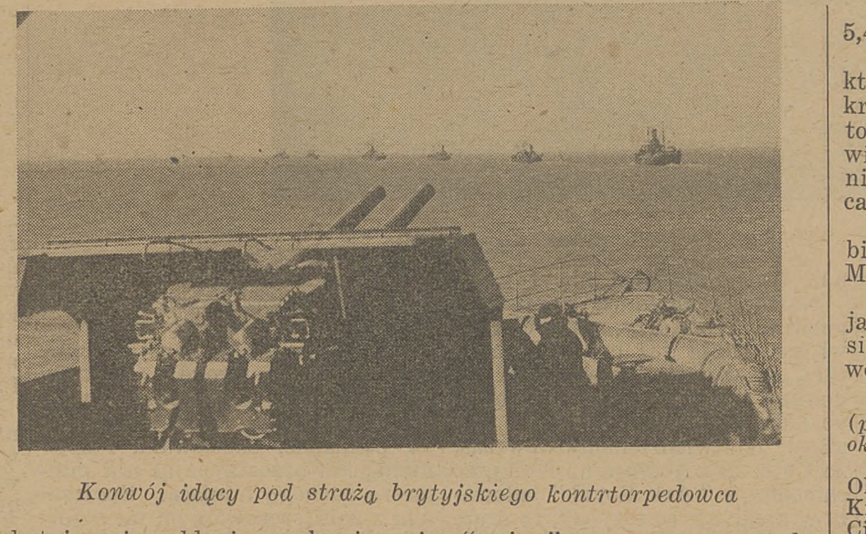
Instytucje i urządzenia Wielkiej Brytanii nie grzeszą prostotą. Nie można się też dziwić, że i organizacja rezerw nie jest tak prosta. Zresztą jest to usprawiedliwione o tyle, że służbę morską Anglicy traktują jako służbę specjalistów.

Zasadniczo rezerwa marynarki brytyjskiej składa się z trzech zupełnie niezależnych organizacji: *"Royal Fleet Reserve," "Royal Naval Reserve," "Royal Naval Volunteer Reserve."*

W poprzedniej wojnie 1914-1918 na 408.000 ludzi w marynarce brytyjskiej należało w chwili zawieszenia broni 215.000 do tych trzech rezerw.

Do "Royal Fleet Reserve" zaliczani są oficerowie morscy, którzy albo dobrowolnie opuścili szeregi służby czynnej, albo zostali spensjonowani, pobierają pełną emeryturę i są obowiązani do podjęcia służby na rozkaz w każdej chwili. Szeregowi należący do tej rezerwy rekrutują się z pośród marynarzy, którzy ukończyli służbę 22-letnią i mają mniej, niż 50 lat i marynarzy, którzy zakontraktowali się do służby czynnej skróconej, pięcioletniej. Wówczas obowiązani są do pozostawania w ciągu 7 lat w "Royal Fleet Reserve."

Jeśli więc ta rezerwa jest jakby przedłużeniem czynnej służby—to "Royal Naval Reserve" stanowi instytucję zupełnie odmienną. Pozostając pod rozkazami viceadmirała składa się ona z marynarzy zawodowych, oficerów, szyprów i majtków statków handlowych i rybackich, którzy zgłosili się do służby w "Royal Naval Reserve" i którzy otrzymali w tym kierunku dodatkowe wyszkolenie. Oficerowie i szeregowi są tu więc zaciągani ochotniczo i poddani są obowiązkowym, okresowym ćwiczeniom, podczas których otrzymują żołd taki sam, jak oficerowie i szeregowi zawodowi.



Konwój idący pod strażą brytyjskiego kontrtorpedowca

Oficerowie "Royal Naval Reserve" korzystają z przywileju, o który bardzo dbają. Mianowicie: kapitanowie statków handlowych, którzy należą do "Royal Naval Reserve" mają prawo, za zezwoleniem Admiralicji, podnosić na swoich statkach banderę koloru granatowego (Blue Ensign). Jak wiadomo Marynarka Wojenna Królewska ma banderę białą, zaś handlowa: czerwoną.

Podczas wojny oficerowie "Royal Naval Reserve" albo obsadzają statki pasażerskie, przekształcone na krążowniki pomocnicze, statki-szpitale, statki transportowce wojsk, albo (szyprowie i marynarze rybaccy), obsadzają kutry trawlery i "avisa," przeznaczone do zwalczania okrętów podwodnych, wyławiania min, patroli przybrzeżnych i t.p. i t.p., czynności w obecnej wojnie bardzo ważnych. Wreszcie ci najstarsi zastępują marynarzy służby czynnej w stoczniach i arsenałach portowych.

"Royal Volunteer Reserve" jest znowu instytucją zupełnie odmienną o charakterze czysto brytyjskim. Na rezerwę tę bowiem, poddaną rozkazom również viceadmirała, składają się marynarze amatorzy i członkowie klubów morskich oraz właściciele yachtów prywatnych. Wszyscy członkowie tej organizacji podpisują swój "zaciąg" na 4 lata z możnością czterokrotnego odnawiania. Poddani corocznie stażowi, trwającemu 42 dni, obowiązani są odbywać na statkach sportowych, do których są przydzieleni, dalekie podróże na wodach obcych pod dowództwem oficerów zawodowych.

Podczas wojny obsadza ta rezerwa małe patrolowce przybrzeżne, yachty i całą olbrzymią służbę pomocniczą, która w ostatniej wojnie oddaje tak olbrzymie usługi w walce z okrętami podwodnymi, piratami powietrznymi i zabezpiecza (w sensie zwiadowczym) wybrzeża Wielkiej Brytanii.

ZESTAWIENIE

Dla ogólnego obrazu ciekawe będzie zestawienie Sił Morskich na świecie w chwili wybuchu wojny. Trzeba przy tym zaznaczyć, że efektywne siły Wielkiej Brytanii nie zmniejszyły się, a przeciwnie powiększyły, gdyż wykończono, spuszczono na wodę względnie rozpoczęto budowę znacznej ilości jednostek przewyższającej ilość strat.

Straty zaś procentowo są niewielkie. W wielkich jednostkach (zaraz na początku wojny) Wielka Brytania straciła pancernik bojowy "Royal Oak" z klasy "Royal Sovereign," lotniskowce "Courageous" i "Glorious" oraz krążowniki: "Southampton," "Gloucester," "York," "Effingham," "Calypso," "Fidji," "Bonaventure," "Calcutta." Największe straty są w kontrtorpedowcach i w okrętach podwodnych, lecz wyrwa została uzupełniona kontrtorpedowcami amerykańskimi oraz nowoukończonymi, nie licząc norweskich, holenderskich, polskich i "Wolnej Francji," współpracujących z potężną flotą Wielkiej Brytanii.

Natomiast straty niemieckie u brzegów Norwegii, w La Plata na Atlantyku i ujścia Elby są bez porównania znaczniejsze. Tak więc Niemcy stracili (nie licząc okrętów tak uszkodzonych, że przez długi okres absolutnie nie nadają się do użytku): —

Pancernik "Bismarck" (40.000 ton).

Pancernik "kieszonkowy" (10,000 tonn) . . . "Graf von Spee."

1 krążownik klasy "Hipper" ("Blücher")—8,000 tonn.

3 krążowniki klasy "Köln" ("Karlsruhe," "Kölr[illegible] Königsberg") po 6,000 [illegible]ażdy.

1 krążownik "Emden" . . . 5,400 tonn.

Poza tym są dane, według których można przypuszczać, że krążownik "Leipzig" (6000 tonn) również zatonął. Największe jednak straty Niemcy ponieśli również w kontrtorpedowcach i w okrętach podwodnych.

Włosi w Taranto, w pierwszej bitwie Sycylijskiej i w bitwie pod Matapan ponieśli poważne straty.

Uwzględniwszy te uwagi tym jaśniej uwypukli się zestawienie sił morskich w chwili wybuchu wojny.

WIELKA BRYTANIA
(pierwsza kolumna cyfr oznacza okręty czynne, druga okręty w budowie w chwili wojny)

Okrętów linjowych	11	9
Krążowników bojowych	3	
Ciężkich krążowników	15	
Krążowników przeciwlotniczych	6	
Innych krążowników	43	19
Lotniskowców	5	6
Lotniskowców dla wodnopłatowców	1	
Kontrtorpedowców	176	8
Okrętów podwodnych	57	18
Ścigaczów	26	10
Kanonierek	21	
Okrętów eskortujących, slupów i t.p.	52	7

NIEMCY

Okrętów liniowych	5	4
Ciężkich krążowników	2	3
Innych krążowników	6	4
Lotniskowców	1	2
Kontrtorpedowców	22	12
Okrętów podwodnych	70	
Ścigaczów	12	30
Okrętów esk. i t.p.	10	

ITALIA

Okrętów liniowych	4	4
Ciężkich krążowników	7	5
Innych krążowników	14	
Kontrtorpedowców	61	30
Okrętów podwodnych	104	28
Starych torpedowców	70	
Ścigaczów	80	6
Kanonierek	14	

JAPONIA

Okrętów liniowych	9	4
Ciężkich krążowników	12	
Innych krążowników	27	
Lotniskowców	7	
Lotniskowców do wodnopłatowców	2	3
Kontrtorpedowców	112	
Okrętów podwodnych	60	
Ścigaczów	12	8
Kanonierek	9	

STANY ZJEDNOCZONE

Okrętów liniowych	15	8
Ciężkich krążowników	18	
Innych krążowników	17	2
Lotniskowców	5	1
Pływających baz lotniczych	3	
Kontrtorpedowców	215	19
Okrętów podwodnych	87	
Ścigaczów		13
Kanonierek	12	

Trzeba też wziąć pod uwagę, że floty państw osi są rozdzielone geograficznie, a wartość załóg (zwłaszcza włoskich) jest o wiele niższa od załóg brytyjskich czy polskich, nie tylko fachowo, ale przede wszystkim moralnie.

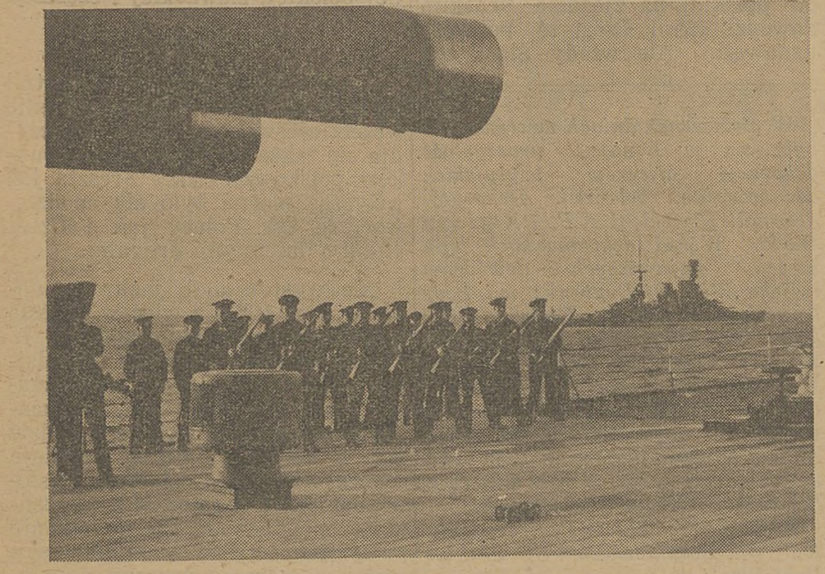
Ta przytłaczająca przewaga uzupełniana jest obecnie jeszcze flotami Polski, Holandii, Norwegii i Wolnej Francji, a jeśli chodzi o inne floty świata, z flotą brytyjską mogą się mierzyć jedynie floty Stanów Zjednoczonych i Japonii.

Stany Zjednoczone posiadają flotę, której wartość techniczna, fachowa i moralna jest na bardzo wysokim poziomie. Flota Japonii odciąga silnie flotę brytyjską, gdyż wobec niepewnego stanowiska Japonii, Wielka Brytania zmuszona jest utrzymywać na Oceanie Spokojnym sporą eskadrę bojową, złożoną przede wszystkim z okrętów podwodnych. Pocieszający jest natomiast pewnik, że nie ma mowy o tym, aby Stany Zjednoczone zostały neutralne w razie wystąpienia Japonii po stronie państw osi. Gdyby zaś Stany Zjednoczone weszły do wojny, połączone floty: brytyjska i Stanów Zjednoczonych byłyby potęgą nie do zwalczenia, o przewadze wprost przytłaczającej.

W każdym razie, bez względu na to jakie byśmy robili zestawienia, należy zdać sobie sprawę, że potęga morska Wielkiej Brytanii jest potęgą olbrzymią, przewyższającą znacznie państwa osi, potęgą, na której, obok rosnącej potęgi powietrznej, opiera się cała nasza Polska Nadzieja.

Bohdan Pawłowicz

* Por. nr. 36 "Polski Walczącej."



Piechota morska (Royal Marines) na pokładzie okrętu liniowego



Match bokserski na pokładzie

Polsko-brytyjskie braterstwo na morzu

Królewską Kanadyjską Flotę Wojenną znów okryła żałoba. W pobliżu wybrzeży Kanady, niedaleko wejścia do portu w Halifax, zatonął H.M.C.S. "Otter," przy czym 19 oficerów i marynarzy z pośród 37 osobowej załogi okrętu znalazło śmierć w morzu.

Podczas normalnego patrolu wzdłuż wybrzeży Kanady i pól minowych, gdy okręt znajdował się opodal wejścia do portu Halifax, z niewiadomych narazie przyczyn w maszynowni H.M.C.S. "Otter" wybuchł pożar, który wkrótce objął niemal cały górny pokład. Ponieważ na okręcie znajdowała się duża ilość łatwopalnych materiałów i środków wybuchowych (amunicja, miny, bomby głębinowe), akcja ratownicza nie tylko była ogromnie utrudniona, ale groziła nawet poważnym niebezpieczeństwem, gdyż magazyn amunicyjny, już niemal całkowicie otoczony płomieniami, mógł w każdej chwili wybuchnąć. Poza tymi przeszkodami w akcji ratunkowej ogromnie silny sztorm niezmiernie utrudniał wszelkie czynności ratownicze. Fala wysokości około 20 stóp rzucała okrętem jak łupiną. "Otter" nie mógł już przeciwstawić się rozszalałemu żywiołowi, gdyż ani maszyny ani stery nie pracowały. W takich warunkach należało zrezygnować z ratowania okrętu. Załoga zajęła miejsca w łodziach ratunkowych.

Kapitan polskiego frachtowca, który właśnie w tej chwili przepływał opodal, opowiadał mi, że zdziwił się ogromnie, że przy tak wzburzonej pogodzie odbywają się ćwiczenia szalupowe. Tak mu się to bowiem w pierwszej chwili wydało. Gdy jednak poprzez gęstą mgłę zobaczył objęty pożarem i tonący okręt—zrozumiał, co się stało. Wydał też natychmiast rozkaz zmiany kursu i polecił załodze przygotować się do ratowania okrętu i załogi.

Sztorm i ulewa deszczowa uniemożliwiały chwilami wszelką akcję ratowniczą. O spuszczeniu własnych szalup nie można było nawet marzyć. Nie zniechęciło to jednak polskiej załogi. Najpierw skierowano statek ku najbliższej łodzi "Otter'a." Z obu burt statku spuszczono linki ratunkowe i drabinki linowe; przygotowano pasy i wielkie koła ratownicze. Zbliżono się na odległość około 30 metrów od łodzi, na której 20 marynarzy "Otter'a" śpiewało mimo groźnej sytuacji popularną kanadyjską piosenkę *"Roll out the barrel."* Już się wydawało, że ludzie są uratowani, gdy nowa olbrzymia fala rzuciła łódź o burtę statku. . . . Na kilka minut i łódź i ludzie zginęli z oczu.

Dopiero po chwili zauważono wynurzającą się łódź do góry dnem, a potem pojedynczych marynarzy, usiłujących się utrzymać na powierzchni wody i dopłynąć do polskiego statku. Niektórzy z nich szukali chwilowego oparcia na przewróconej łodzi. W tych ciężkich warunkach, dwóch polskich marynarzy: bosman Paweł S. i młodszy marynarz M.P., zdobyli się na bohaterski wyczyn. O ich odwadze i poświęceniu opowiadał ze szczerym podziwem kapitan "Otter'a" por. Denis Mossman.

— "Moi chłopcy byli już u kresu sił—brzmiała jego opowieść—gdy nad swymi głowami ujrzeli zbawcze liny i drabinki statku polskiego. Schwycili się tych lin kurczowo, ale wyczerpani długą walką nie mieli dość sił, by się wspiąć na pokład. Gorzej, bo kilku tak osłabło, że wkrótce większa fala pochłonęła ich na zawsze.

Wówczas to—ciągnął dalej rozmówca—bosman Paweł S. zaczął się opuszczać na szalupie ze statku, by mimo wzburzonego morza, zebrać pływających jeszcze moich rozbitków. Niestety—większa fala rzuciła szalupę na burtę statku. Bosman doznał obrażeń, na szczęście niegroźnych.

Niepowodzenie to bynajmniej nie zniechęciło Polaków. Inny marynarz, M.P. przewiązawszy się w pół liną, kazał się spuścić z pokładu w morze i zaczął wyławiać rozbitków po jednemu. W ten sposób wyciągnął na pokład ośmiu marynarzy, z pośród których niestety pięciu już nie można było przywrócić do życia. Gdy w kilka godzin potem z kolei i ja dostałem się na pokład polskiego statku—zastałem już tylko ich zwłoki przykryte brytyjskim sztandarem."

O sobie dzielny dowódca "Otter'a" nie wspomniał ani słowa. Mówił tylko o poświęceniu i odwadze polskich marynarzy, którzy z pośród 37 ludzi załogi "Otter'a" uratowali 18. Zato o por. Mossman'ie z ogromnym zapałem mówili mi wszyscy polscy marynarze. Kanadyjczyk zaimponował im,—gdy mimo grożącej lada chwila eksplozji—pozostał na swym okręcie tak długo, póki nie unieszkodliwił wszystkich bomb i min głębinowych, które pływając po morzu bez kontroli stanowiły by potem poważne niebezpieczeństwo dla żeglugi. Por. Mossman byłby niechybnie zginął, gdyby dwóch z jego marynarzy nie przybyło po niego specjalnie, by go niemal przemocą sprowadzić do szalupy. Był to już najwyższy czas, bo zaledwie łódź się nieco oddaliła od okrętu, nastąpił wybuch, po którym H.M.C.S. "Otter" zanurzył się na zawsze w morzu. Drugą szalupę z por. Mossman'em polski statek zdołał wyratować łatwiej, niż poprzednią. Jej obsada, zdoławszy szczęśliwie domanewrować do polskiego statku miała jeszcze dość sił, by samodzielnie wspiąć się po linkach i drabinkach na pokład.

Prasa kanadyjska wiele miejsca poświęca polskiemu statkowi, a przy tej okazji wszystkim polskim marynarzom.

Wiele serdecznych słów piszą kanadyjskie gazety o młodym kapitanie polskiego frachtowca. Dowiadujemy się, że mając lat 16 polski kapitan wstąpił na ochotnika do armii polskiej walczącej z bolszewikami. Podczas walki dostał się do niewoli. W niewoli tej spędził dwa miesiące i dopiero atakujące polskie wojska odbiły go. Po wojnie wstąpił do polskiej marynarki handlowej a przed pięciu laty powierzono mu statek, którym tak dzielnie dowodzi do dzisiejszego dnia.

Tak samo dużo pisze prasa kanadyjska o młodszym marynarzu M.P., który odegrał główną rolę w akcji ratowania rozbitków z "Otter'a." Pod licznymi fotografiami dzielnego marynarza znajdujemy komentarze, że M.P. był członkiem załogi "Piłsudskiego" i odznaczył się już, gdy polski motorowiec tonął niedaleko wybrzeży irlandzkich w grudniu 1939 roku. Wspaniałe zachowanie się polskich marynarzy podczas ratowania załogi "Otter'a" przysporzyło nowej chwały polskiej banderze a wśród Kanadyjczyków pogłębiło bardzo serdeczny stosunek i szczere uznanie dla młodej polskiej floty handlowej.

Zbyteczne jest dodawać, jak dumna jest z polskich marynarzy Polonia kanadyjska.

Stefan Rawicz



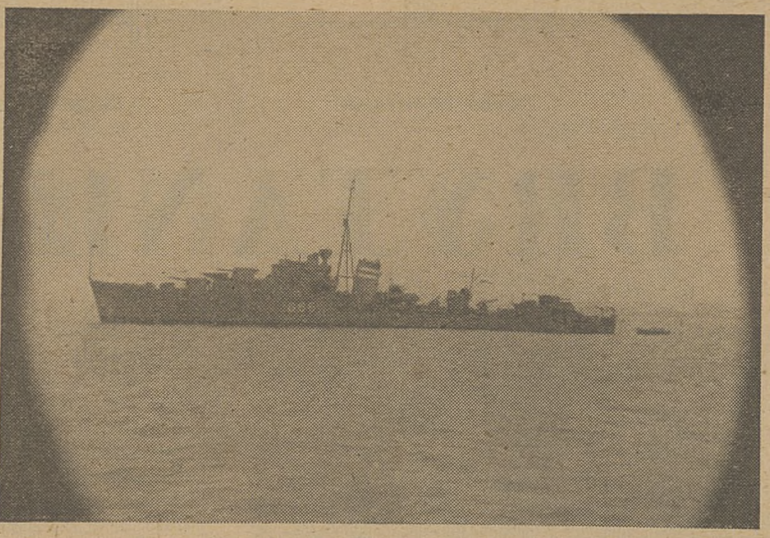
Oficerowie Brytyjskiej Marynarki Wojennej w mesie pływającej bazy okrętów podwodnych



Typy marynarzy brytyjskich

Wielka próba "Pioruna"

Opowiadanie marynarza



O.R.P. "Piorun (zdjęcie przez iluminator)

Nie byłem przy dziale strzelającym do "Bismarcka," nasza czterolufowa czterdziestka mogła mieć najwyżej apetyt na jego reflektor. Nie mniej, znajdując się na pokładzie "Pioruna" widziałem przebieg całej akcji. Lepiej nawet może mogłem obserwować niż inni i doskonale zdawałem sobie sprawę z sytuacji.

Dużo by o tym dało się napisać, ale nasz dziennik okrętowy, najtreściwszy z dzienników, rozwodzić się długo nie lubi. Jest tam tylko napisane, że: "*Dnia 26 maja* 1941 *r. godz.* 11.15 *rozpoczął się pościg za niemieckim pancernikiem "Bismarck" przez cztery kontrtorpedowce 4-tej Flotylli: H.M.S.S. "Cossack," "Zulu," "Siklu," "Maori" i O.R.P. "Piorun," które miały za zadanie zatrzymać nieprzyjaciela do czasu przybycia głównych sił. Godz.* 22.37 *został zauważony pancernik niemiecki. Zarządzono alarm bojowy o godz.* 22.37*—odbój alarmu nastąpił o godz.* 04.00 *w dniu* 27.*V*.41. *O.R.P. "Piorun" idący na lewym skrzydle* 1*-ego dyonu zauważył nieprzyjaciela i został ostrzelany. Po pierwszej salwie "Bismarcka"—O.R.P. "Piorun" otworzył ogień z odległości* 13.000 *yardów i oddał trzy salwy, po czym okręt uchylił się od skutecznego ognia nieprzyjaciela przy pomocy manewrowania i zasłony dymowej. W ciągu całej godziny okręt skupiał na sobie ogień nieprzyjacielski i utrzymywał z nim styczność wzrokową, manewrując na przemian na kurs oddalenia, to znów zbliżania na odległość minimum* 8.000 *yardów, co umożliwiło samolotom i innym kontrtorpedowcom dojście na pozycję ataku.*

Po zapadnięciu zmroku, łączność z nieprzyjacielem została przerwana. Na skutek utracenia kontaktu z resztą okrętów, oraz wskutek złej widoczności całonocne poszukiwania nie dały możliwości ataku torpedowego. O godz. 07.00 *na rozkaz dowódcy Flotylli, okręt opuścił teren walki celem uzupełnienia zapasu ropy. W drodze powrotnej okręt napotkał samoloty nieprzyjaciela różnego typu; tylko dzięki intensywnemu i skutecznemu ogniu artylerii przeciwlotniczej okręt nie dopuścił do wykonania przez nich ataku.*

W dniu 28.*V*.41 *o godz.* 09.40 *okręt przybył do Devonport mając we wszystkich zbiornikach razem* 30 *ton ropy.*

W czasie tych wszystkich działań bojowych, każdy z załogi okrętu spełnił chlubnie swój obowiązek.

Załoga okrętu wykazała doskonałą sprawność morską, doskonałą postawę i wysoką wartość bojową, przynosząc zaszczyt naszej banderze i okrywając chwałą imię Polskiej Marynarki Wojennej.

Dziękuję wam za chlubne spełnienie obowiązku.

Niech żyje Polska!

Dowódca O.R.P. "Piorun."

Tak to wszystko wygląda według okrętowego dziennika. Tymczasem rozpoczęliśmy naszą akcję przeciw "Bismarck'owi" już na parę godzin przed alarmem bojowym. Oto zostawiliśmy daleko na oceanie konwój wyprowadzony ze szkockich portów i "całą na przód" gnaliśmy kursem, na którym przypuszczalnie miał się ukazać nieprzyjaciel. Cztery kontrtorpedowce podobnej do nas klasy i O.R.P. "Piorun," który przez cały czas szedł jako pierwszy okręt w szyku.

Gdy wstąpiłem o 8-ej wieczorem na wachtę wraz z "drugą bojową," okręt płynął szybko, a wysoka fala kładła go głęboko na burty. Była to wachta jedna z wielu od szeregu miesięcy, spędzanych na przeważnie burzliwym oceanie, kiedy to człowiek stoi z oczyma utkwionymi w horyzont, przez cztery godziny badawczo przeszukując swój sektor i wyczekując spotkania z tym, który zburzył, zbezcześcił i zniszczył Polskę, z naszym odwiecznym, krwiożerczym wrogiem—Niemcem.

Chcielibyśmy spotkać się z wrogiem twarzą w twarz i móc nacieszyć swój wzrok jego szybkim końcem . Każdy z nas ma olbrzymie zaufanie do naszego komandora i do okrętu, który choć nam niedawno przydzielony dziwnie przylgnął nam do serca. "Piorun" przydzielony jest nam wzamian za "Groma," którego uratowana część załogi pływa na nim i poprzysięgła pomstę za "Groma" i kolegów. Czyż teraz nasze marzenia będą mogły być spełnione?

Zdaję sobie sprawę, że wobec "Bismarck'a" jesteśmy małym pekińczykiem rzucającym się na lwa, ale trzeba przecież zrobić wszystko, co w naszej mocy, by zmniejszyć szybkość wrogiego okrętu i zatrzymać go do czasu przybycia "Rodneya," który, będąc równowartościowym przeciwnikiem podejmie walkę o zniszczenie "Bismarck'a."

Moje rozmyślania przerwał dzwonek alarmowy. Mat działonowy zadaje pytanie, na które i tak nie umie nikt odpowiedzieć: "Czy to już "Bismarck" ? "—Spojrzałem na zegarek—dochodziła godzina 10-a. Za chwilę słyszę telefoniczny rozkaz /miałem wówczas służbę telefonisty przy dziale/: "Alarm bojowy—lewo dziesięć sylwetka. Przygotować działa."

Niestety to nie dla nas jeszcze robota. Mamy osobny rozkaz pilnie obserwować niebo, gdyż w pobliżu przelatywały niemieckie samoloty, zapewne idące na pomoc "Bismarck'owi." Widzę kolegów z działa rufowego, którzy się pilnie krzątają spełniając swe funkcje. Czyżby to miała nadejść już decydująca chwila? Po kilku minutach naprężenia, padają słowa oficera artyleryjskiego: "Uwaga działa. Sylwetka rozpoznana. Jest to krążownik brytyjski."

Nastąpiło chwilowe odprężenie nerwów. Niektórzy, mniej cierpliwi, zaczynają już powątpiewać o tym, czy w ogóle kiedykolwiek dogonimy "Bismarck'a." Przecież posiada szybkość ponad 30 węzłów! Nie wiedzieliśmy wówczas, że z nim było już nie najlepiej, że samoloty z "Ark Royal" ładowały w niego swoje torpedy, że szybkość jego spadła o kilkanaście węzłów, ale co najważniejsze, że poza czterema kontrtorpedowcami i jednym krążownikiem nie ma w naszym pobliżu żadnej jednostki morskiej, którąby mogła podjąć ostateczny atak.

Tak czas szybko zleciał do godz. 10.27. Punktualnie o tej godzinie słyszę meldunek: "Lewo 30 sylwetka."

Napięcie znów wzrasta. Widzę jak z lewej burty płynący "Cossack" coś do nas sygnalizuje, lecz nie trzeba było być sygnalistą, aby wywnioskować, że idzie do nas rozkaz: "Zwiększyć szybkość."

Biedny "Piorun" idący pod falę raz po raz zwycięsko z nią walczy, zanurzając się swym wysmukłym dziobem, torując sobie szeroką piersią drogę. Od czasu do czasu fala-złośnica atakowała go niespodzianie, przewalała się po pokładzie, skotłowana i spieniona, nie pozostawiając ani milimetra suchego miejsca. Spojrzałem z zainteresowaniem na dziób. Biedni koledzy z 1-szego działa. Nie ma na nich pewnie suchej nitki!

W innym wypadku klęlibyśmy, jak tylko kląć potrafią marynarze, lecz dziś, dziś nikt na tę przymusową kąpiel nie zważał. Przecież idzie tu gra o największą stawkę. . . .

Później, gdy rozpoznano, że to "Bismarck" przed nami—wypadki potoczyły się już z błyskawiczną szybkością. Z lewej burty ujrzałem złowrogi błysk i w parę chwil potem w miejsce, w którym przed chwilą był nasz okręt—padały potężne pociski piętrzące wodę w wulkany tryskające z morskich głębin. Była to pierwsza salwa "Bismarcka," który widocznie nas obrał sobie przede wszystkim za cel swoich pocisków. Słyszę rozkaz: "Kąt kursowy-czerwone 30 seria wszerz, uwaga" . . .

Dalej już nic nie słyszałem—błyski ognia i huk naszych dział zagłusza wszystko wokół mnie. Była to chwila właściwej wymiany salw naszych z salwami pancernika niemieckiego. Przyznam się, że z emocji zacząłem się trząść. Myśl pracuje bezładnie: czy aby nasze salwy będą trafne, czy im co zrobią? . . . Wtem słyszę słowa oficera artyleryjskiego, który najspokojniejszym tonem mówi: "Uwaga, pociski trafne jak na ostatnim naszym ćwiczebnym strzelaniu." Spokój i opanowanie bijące z tego głosu i mnie się udzieliło.

Pozostawanie dalsze "Pioruna" na tym samym miejscu byłoby równoznaczne z posłaniem go na dno, to też momentalnie po przerwaniu ognia nasz okręt zaczął wyczyniać najróżniejsze zygzaki i zawijasy: rzucał się raz w prawo, raz w lewo, w tył i znów do przodu, ciągle zmieniając kierunek, a wszystko na największej szybkości, tak, jakby się bronił tymi unikami przed jakimś potężnym, niewidzialnym wrogiem. Były to t.zw. "zygzaki."

Wtedy to odczułem tak jak nigdy może, że los okrętu i nas wszystkich, całej załogi zależy od woli jednego człowieka, od jego umiejętności i opanowania. Szczęśliwy byłem, że mogę polegać na spokoju i opanowaniu naszego dowódcy, który prowadził swymi rozkazami okręt. Tymczasem z naszego komina buchnęły kłęby czarnego dymu, który natychmiast spłynął na wodę, rozpłynął się i przylgnął do niej tworząc nieprzejrzaną zasłonę, jakby wiedząc, że od niego zależy też całość manewru.

Za chwilę z rufy pada meldunek: "fumator zepsuty"—"no to go reperować!"—odzywa się przez telefon spokojny głos oficera artyleryjskiego. I już za chwilę czarne zasłony dymu zakrywają nas przed okiem nieprzyjaciela.

Nawet nie zauważyłem jak zmrok zgęstniał w ciemną, chmurną noc. Nasz "Piorun" wymknąwszy się "Bismarck'owi" zmniejszył szybkość do paru węzłów, cały zamienił się w słuch. Wszyscy wytężali swój wzrok, wypatrując, aby przypadkiem nie natknąć się na pancernik. Wówczas jednak także pozostawała nam szansa /co prawda jedna na sto/, że wpakujemy mu swoje torpedy i jakoś zdołamy uciec.

Z tym śmiałym planem naszego komendanta krążyliśmy przez całą noc. Krążyliśmy jednak bez skutku. Nadzwyczaj niekorzystne warunki pogody uniemożliwiły nam wykonanie tego, co zamierzaliśmy. Rano o godz. 7.00 mając ostatnie zapasy ropy dostaliśmy rozkaz powrotu do portu.

Na horyzoncie widziałem znikającą sylwetkę "Bismarck'a," o którego wykończeniu dowiedziała się nasza załoga w drodze powrotnej do portu. W czasie tej drogi, samoloty niemieckie, może szukając zemsty za los zgotowany ich wielkiemu pancernikowi, nalatywały nas. Nic jednak nie potrafiło zamącić naszej radości. Piersi nasze przepełniało uczucie dumy i zwycięstwa.

W parę tygodni później, na specjalnej zbiórce, Komandor odczytał nam list Mistrza Paderewskiego, którego pochwała, jak niczyja inna w chwili obecnej, może być dumą każdego Polaka.

"Niech mi wolno będzie do uznania i gratulacji, wyrażonych Panu Komandorowi przez Naczelnego Wodza, przez Pańskich dowódców i kolegów, dorzucić słowa najszczerszej wdzięczności dla Pana Komandora i załogi O.R.P. "Piorun."

Los szczęśliwy pewnie zrządził, że pierwszy O.R.P. "Piorun" wytropił salwujący się ucieczką niemiecki okręt pancerny "Bismarck." Zaatakowaniem niewspółmiernie silniejszego przeciwnika dał Pan jeszcze jeden dowód bohaterstwa naszej Marynarki Wojennej.

Niech Bóg błogosławi Waszemu rycerskiemu trudowi, niech ma Was w swojej opiece i niech Was zwycięskich, szczęśliwie do ojczystych doprowadzi brzegów.

New York, 22 *czerwca* 41 *roku.*

I. J. Paderewski."

Widziałem na twarzach kolegów moich wyprężonych i wsłuchanych w padające słowa niezmierne wzruszenie, a w niejednym oku błyszczała łza. . . .

Andrzej Domiczek

Pierwsze spotkanie

Opowiadanie lotnika

Właściwie to są wspomnienia z przed wieku. Z tych bowiem czasów, kiedy to my byliśmy stroną przyjmującą gości z za Kanału. Dziś, jak wiadomo, rewizytujemy. Wtedy tylko oczekiwaliśmy wizyt, które wbrew konwenansom wypadały zwykle w porze obiadowej. Trzeba było zrywać się od stołu i biec do maszyn, żeby zaraz nad wybrzeżem zgotować nadlatującym Messerschmidtom jak najgorętsze przyjęcie.

Zaraz pierwszy lunch naszej eskadry po przybyciu na południowy brzeg został popsuty w ten właśnie sposób. Co gorsza, lunch był znakomity, /żeby utrzymać się w ramach dzisiejszego humoru, muszę zaznaczyć, że w jadalni unosił się aromat cebuli i właśnie obieraliśmy pomarańcze, kiedy wezwano nas do *readiness*, poczem jeden z pilotów, biegnąc ku drzwiom, poślizgnął się na skórce od banana/. Następnie już bez przeszkód znaleźliśmy się na *dispersal*, gdzie maszyny czekały zapuszczone. /Uwaga dla laików: samolot "zapuszczony" nie oznacza: niechlujnie zaniedbany, lecz —z silnikiem już pracującym./

Start i te kilkanaście czynności, które tak groźnie wyglądają w opisie, a tak prosto w locie: schowanie podwozia, zamknięcie kabiny, zmiana skoku śmigła, przymknięcie gazu, włączenie radia, przygotowanie celownika, sprawdzenie zegarów,—myślę, że z połowę opuściłem, te rzeczy pamięta się nie słowami, tylko ruchami. I zajmuje to czasu mniej, niż by się zdawało.

Tak więc nie upłynęło wiele, jak cała eskadra pruła w kierunku Southampton. Zdaleka lśniły dwie, głęboko w ląd wrzynające się zatoki, za nimi siniała *Isle of Wight* —Ogród Anglii. Z góry trudno co prawda dostrzec ogrody i kwiaty, wygląda to raczej na czworokątny placek zielonkawo-rudawy.

W ogóle, powiedziałbym, że poezja latania leży nie w widoku ziemi, lecz—chmur. Tam bywa fantastycznie. Czy uwierzycie na przykład, że cień własnego samolotu na chmurze jest zawsze otoczony wielkim, tęczowym kołem? Czy potraficie wyobrazić sobie rozkosz ślizgania się po oślepiająco białej, płaskiej powierzchni zbitych kumulusów,—sannę po chmurach? Albo lot wśród małych obłoczków przy pełni księżyca!—nie, to trzeba przeżyć, a kiedy się raz przeżyje—trzeba tym żyć.

Piloci, jak znacie ich na ziemi, ludzie realni, rubaszni, trzeźwi /a choćby i nietrzeźwi/ nie wyglądają na poetów. Oni sami parsknęli by śmiechem na taki epitet. Poezja latania jest ich strawą codzienną; nie wiedzą, że żyją poezją. jak mieszczanin u Moliera nie wie, że mówi prozą. A przecież, czy nie są bliscy ideału Miltona: "*The poet must be himself a poem.*"

Ale zejdźmy już z tych obłoków. A raczej wznieśmy się ponad nie, bo lecimy na jakieś dwadzieścia tysięcy *feet*. Lecąc w chmurze, doznaje się dziwnych złudzeń zmysłu równowagi: trzymam się z prawej strony prowadzącego, skrzydło w skrzydło, żeby go nie zgubić w gęstej, szarej mgle; instrumentami, rzecz prosta, nie interesuję się, bo cała moja uwaga jest poświęcona na utrzymanie się w szyku. Dziwi mnię, dlaczego prowadzący zaczyna skręcać w lewo, cóż u licha, dlaczego nie przechodzi przez chmury w prostym kierunku? dlaczego zaczyna pikować w tym skręcie i w ogóle co on sobie myśli,—skręt tak głęboki, że ja wiszę nad nim ze skrzydłami w płaszczyźnie pionowej, czy on zwarjował! ! !—nagle chmurę zdmuchnęło, nad nami praży oślepiające słońce i okazuje się, że lecimy w idealnie prostym kierunku, łagodnie wznosząc się. Warto by żyro wmontować sobie w ucho, zamiast trzech rurek z płynem i włoskami!

Chmury więc zostały pod nami. Na czystym niebie na wprost nas ujrzałem najpierw rozkwitające pączki pocisków artyleryjskich. Podlecieliśmy bliżej i wtedy, nieco poniżej nas, z przodu i z boków ukazały się rozbiegane we wszystkich kierunkach, czarne, chude Dorniery i Junkersy; kręciły się, jak głodne robactwo, tu, tam, wszędzie gdzie spojrzeć,—mnóstwo za bardzo! Wzniosłem oczy ku niebu, szukając stamtąd pomocy i com zobaczył?—chmurę Messer[illegible]hmidtów, latających kółkami, [illegible] kąśliwe osy.

Wola[illegible] skrzypce! moja sekcja runęła w dół do ataku na coś, co tam prowadzący sobie upatrzył. Ale oto z boku podsuwa się chyłkiem jakiś gad,—ani chybi, chce nas upolować milczkiem od tyłu. Robię gwałtowny skręt w prawo, żeby wsiąść na ogon gadowi, ten, odpłacając mi się tym samym, dąży w kierunku mego ogona.

Rozpoczyna się klasyczne *dog-fighting*. Długie chwile mijają w sytuacji równowagi—widzę go ciągle po przeciwnej stronie średnicy naszego kołowania. Próbuję ciaśniejszego skrętu, — mroczy, maszyna drży z ochoty do korkociągu, kółko robimy całkiem ciasne, odbezpieczam spust karabinów, nagle—ach, psiakrew!—toż to taki sam Hurricane, jak ten, w którym ja się pocę. Dlaczego cymbał nie przyjrzał się wcześniej?! /on pewnie w tej chwili myśli to samo/.

Rzucam mu pogardliwy epitet na pożegnanie i odchodzę w przeciwnym kierunku. Gdzie reszta, gdzie towarzysze, gdzie wrogowie?—Wszystko znikło, w powietrzu rozwiewają się ostatnie dymki artyleryjskie, poprzez dziury w obłokach widać spokojną wodę przy brzegach *Isle of Wight*. Ha, trudno, trzeba wracać z pustą torbą. Ostatecznie "nie to jest ważniejsze, abyś zestrzelił wroga, lecz, abyś sam nie dał się zestrzelić" /pierwsza zasada R.A.F./. Ja mam dwie zasługi: nie zestrzeliłem przyjaciela i sam nie dałem mu się zestrzelić.

Biorę przybliżony kurs do bazy i pikuję w chmury. O, durniu, upojony pomyślnym wynikiem walki,—zapomniałeś, że po drodze wiszą balony! Nagle widzę się wśród nich, z boków, z przodu, a wszystkie nieco powyżej mnie, ciemne, napuchłe ze złości, groźne.

Zgłupiałem. I to mnie zapewne uratowało w myśl zasady, że głupim szczęście sprzyja. Po prostu zamknąłem oczy na parę chwil, a kiedy je otworzyłem, balony były już za mną. W kwadrans potem lądowałem w domu. Eskadra wróciła nieco wcześniej.

Ucieszyli się z mego powrotu, a nasz C.O. zadzwonił do *operations* i powiedział wesoło: "*One missing just has landed.*"

Gustaw Nierad

Z życia obozów

"Jaśko, Jean i Johnny" . . .

Ostatnie przedstawienie Czołówki Teatralnej w czasie "wypadu" do Anglii miało bardzo "kolorową"—pod względem narodowościowym—widownię. Oprócz gospodarzy: Anglików, Szkotów i Polaków—oglądali nasze wyczyny tego wieczora: Czesi, Norwegowie, Belgijczycy i jeden lotnik z wojsk Wolnej Francji. Takiej koalicji jeszcze nigdy nie mieliśmy na przedstawieniu, więc graliśmy ze szczególną werwą, a chociaż czasami przeżywaliśmy chwile zwątpienia, czy cała ta "*entente cordiale*" rozumie to, co mówimy i śpiewamy, to jednak mocne gwizdy i pokrzykiwania upewniały nas, że nie jest chyba tak źle.

Po przedstawieniu "*party*," zorganizowana przez dowództwo angielskie, doprowadziła do "zbliżenia międzynarodowego." Z początku jednak chłodno i sztywno zapowiadało się to zebranie. Angliczanie trzymali się w zwartej grupie, a lotnicy polscy przyjęli na siebie rolę łączników pomiędzy Czołówką a światem anglosaskim. Czesi i Norwegowie, odwołani do zajęć szybko opuścili towarzystwo, tak że pozostał tylko Belg z rodziną i Francuz.

Ale jaki Francuz! Z wyglądu nawet nie bardzo "typowy": rudawy blondyn, dość wysoki, przystojny, wesoły, żywy jak iskra. Odrazu przyłączył się do Polaków witając ich okrzykiem: "Niech żyje Polska!" Po chwili wiedzieliśmy już, że nazywa się Jean, pochodzi z Alzacji, że jest odważny i że w tym wielkim zbiorowisku różnych nacji, który stanowi szkoleniowy obóz lotniczy, Jean najbliżej i najserdeczniej pokumał się z Polakami. "Wspaniały kolega, mówili nasi, morowe chłopisko i dobre z kościami. No i temperament ma."

Anglików nie dziwiło zupełnie to, że Francuz tak zdecydowanie przystał do Polaków, kiedy bowiem zauważywszy, że polsko-francuska grupa zbytnio odbiła się od gospodarzy, chciałem naprawić sytuację, starszy Anglik powiedział wyrozumiale: "*Don't trouble*! Wiemy, że wy doskonale rozumiecie się z Francuzami. To jasne. Przecież wasza przyjaźń z nimi jest grubo starsza od naszej."

Tymczasem Francuz perorował żywo, z niezmierną łatwością przerzucając się z języka francuskiego na angielski. Mówił bardzo wyraźnie, jego "*r*" było czyste i dźwięczne, może "nie-francuskie," a ujmujący uśmiech nie schodził mu z twarzy. Szybko zorientowaliśmy się, że nasze skromne zasoby francuszczyzny zdołały wywietrzeć w ciągu rocznego pobytu w Szkocji, a ponieważ uznaliśmy, że z tym pierwszym spotkanym wolnym Francuzem wypada rozmawiać w jego rodzinnym języku, przyzwaliśmy na pomoc koleżanki z sąsiedniego pokoju. Włada i Mira przyszły natychmiast i, jako biegłe w konwersacji francuskiej /"uczyły się po francusku jeszcze przed wojną"/ zaatakowały Francuza tak ostro, że przez czas dłuższy nikt nie mógł się docisnąć ze słowem do koncertu tej trójki. Co chwilę tylko jakieś tubylcze: "*but,*" "*yes,*" lub "*sorry*" przerywało wartki potok francuskiej konwersacji, wywołując śmiech ogólny.

Zwolna Francuz, otoczony Polakami, stał się ośrodkiem zainteresowania całego towarzystwa: przerwały rozmowę w ścisłym gronie starsze, szanowne "*ladies,*" a co młodszy "*people*". szkocko-angielski zbliżył się do nas. Tymczasem trójka od rozmowy przeszła do pieśni. Przypominano sobie po kolei różne francuskie piosenki i śpiewano z zapałem. Czasem, gdy sentyment w grę wchodził, pomagały angielskie panie, gdy zaś żołnierskie opiewano przygody, przyłączały się do chóru basy i barytony oficerów, którzy brali udział w poprzedniej wojnie.

I stało się jakoś tak, że niespodzianie Szkoci i Anglicy i Polacy zostali poruszeni wspomnieniami, które na dnie serca każdego żyły. Piosenka francuska i ten młody lotnik w granatowym mundurze przywiodły na pamięć wspomnienie Francji wielkiej i nieśmiertelnej, "drugiej ojczyzny świata." Odżyły dawne uczucia, odnaleźli się dawni sprzymierzeńcy.

I nagle wystrzeliła znana melodia ulubionej żołnierskiej piosenki z poprzedniej wojny: "Madelon." Śpiewali ją teraz wszyscy: Jean i Belgowie po francusku, Anglicy i Szkoci po swojemu, a my po polsku. Różnie brzmiały słowa, ale rytm był jeden.

"Madelon"! Była kiedyś ta piosenka w repertuarze "Lwowskiej Fali" w Rumunii i we Francji. Dano jej polskie słowa, mówiące o braterstwie broni francusko-brytyjsko-polskim i tytuł: "*W jednym szeregu.*" Z jakim zapałem śpiewali ją nasi żołnierze w obozach internowanych rumuńskich, wyrywający się do Francji. Jak radośnie brzmiała jeszcze później we Francji czasu tej wiosny pamiętnej, co stać się miała ludów wyzwoleniem, a przyniosła tylko klęskę i rozczarowanie. Później popularna piosenka zniknęła z repertuaru: zbyt wiele gorzkich wspomnień niosła ze sobą, zbyt wielki żal wywoływała. I refren jej stał się nieaktualny skoro z trzech towarzyszy tylko Jaśko i Johny pozostali gotowi walczyć do ostatka—Jean zaś złudzony mirażem "pokoju za wszelką cenę," poniżony, pogodził się z losem. Ale rok już upłynął od strasznych chwil odwrotu z Francji i oto dochodzą wieści, że Jean obudził się z letargu, że wstręty czyni okupantom niemieckim, że co raz liczniej śpieszy pod sztandary Wolnej Francji z krzyżem Lotaryngii. Jean już spogląda na drogę, na której pozostawił Jaśka i Johna przed rokiem. Może już niedługo stanie znowu z nimi w jednym szeregu?

Rozruszało się i rozśpiewało całe towarzystwo. Zaintonowaliśmy później "Tipperary," a potem znowu przyszły melodie francuskie, przeplatane polskimi piosenkami ludowymi. Francuz był w siódmym niebie, śpiewał, tańczył, a kiedy szczególnie podobała mu się jakaś piosenka wołał: "Niech żyje Polska!" Odpowiadaliśmy mu z całego serca z radością wielką: "*Vive la France*!"

Północ już minęła i pokój zwolna zaczął się opróżniać. Na zakończenie zebrania międzyalianckiego zaśpiewaliśmy jeszcze "*Sambre et Meuse*" i "Wrócimy." Już tylko kilku Anglików dotrzymywało nam towarzystwa. Wreszcie i polsko-francuska grupa zaczęła się żegnać. Na pożegnanie Jean zaproponował znowu: "Madelon." Tym razem jednak Polacy stanowili większość śpiewających, więc polskie przeważyły słowa. Utworzył się chór; nasze koleżanki z Francuzem i angielskim *squadron-leaderem*, wzięły na siebie rolę "zapiewajłów" i znowu, popłynęły otuchy pełne słowa:

. . . Tak pójdą aż się zdziwi i
zatrzęsie świat
W jednym szeregu Jaśko, Jean i
Johnny,
Za nimi Jóźko, Charlie, Doug,
Louis,
I już na zawsze sercem połączony,
Z Lwowem London—z Warszawą
—Paris.

Ludwik Bojczuk

Wieczory poezji polskiej

Po opuszczeniu szpitala Kazimierz Wajda, czyli po prostu znany nam dobrze z Lwowskiej Fali Szczepko, odwiedził kilkanaście oddziałów wojska polskiego w Szkocji, dając wieczory poezji polskiej. Szczepkę znano dotychczas przeważnie jako świetnego humorystę, który wraz z nieodłącznym Tońciem prowadził taką popularnością cieszące się dialogi. Obecnie wystąpił on w innej roli. Jako wytrawny, subtelnie traktujący wiersz interpretator poezji polskiej.

Przed występami Wajdy odczytywano w oddziałach specjalnie napisane słowo wstępne pióra Marii Kuncewiczowej, w którym znakomita autorka zwraca uwagę na to, że "nikt lepiej nie jest kwalifikowany do podawania ludziom słowa polskiego, niż artyści radiowi. Radio bardziej, niż teatr i bardziej, niż książka oparte jest na bezpośrednim czarze mowy, na jej cieple, na jej poufnych, dziwnie muzycznych właściwościach. Słuchacz radia nie widzi gestu i nie widzi mimiki, nie ma też przed sobą zadrukowanej stronicy, nad którą mógłby rozmyślać, do której mógłby wracać. Słowo radiowe musi trafiać do mózgu przez serce, mieć ton zwierzenia, albo być szczere, musi wypowiadać niepodejrzaną i powszechną prawdę—inaczej obraca się w ocet nudy i żółć propagandy, czego tak jaskrawe dowody zbieramy w czasie wojny." Mówiąc o Kazimierzu Wajdzie Kuncewiczowa podniosła, że "zanim ustalił nazwiska autorów, pomyślał o uczuciach słuchaczy. Pomyślał o tym, z czego się składa "noc niespokojna i dzień frasobliwy "Polaka na obczyźnie."

Tak rzeczywiście pomyślany był program, który z olbrzymim powodzeniem produkował Wajda w kilkunastu oddziałach polskich, interpretując poezje Konopnickiej i Makuszyńskiego. Słonimskiego i Balińskiego, Tuwima i Wittlina, Kowalskiego i Meissnera i innych. Specjalną uwagę zwrócił piękny, nowy wiersz Meissnera p.t. "Ostatni dywizjon Karasi," który wywarł głębokie wrażenie na słuchaczach.

Po tym pięknym objeździe naszych oddziałów Wajda przekształca się znowu w Szczepka i wraz z Tońciem w najbliższych dniach już wystąpi w programie Lwowskiej Fali.

W. B.

Z prasy obozowej

Ukazał się pierwszy, zapowiedziany numer dwutygodnika "Skrzydła," pisma żołnierzy polskich sił powietrznych, stanowiącego dalszy ciąg byłych "Wiadomości ze Świata." Numer datowany 1—14 września, poświęcony wspomnieniom walk polskich skrzydeł w obecnej wojnie, szczególnie działalności naszego lotnictwa na terenie Wielkiej Brytanii. Artykuł wstępny nosi tytuł "Rok walk Dywizjonu 303." Jest to podsumowanie wyników bojowej pracy Dywizjonu. Jest to zarazem dokument, który cyframi zwycięstw i ofiar pozwala w zakończeniu artykułu stwierdzić, że po powrocie do Polski:

"*. . . zdając rachunek Krajowi, śmiało będziemy mogli rzec: spełniliśmy swój obowiązek sumiennie. Nie pominęliśmy żadnej okazji, by zmierzyć się ze śmiertelnym wrogiem. U boku bratniego narodu brytyjskiego wywalczyliśmy odebraną nam brutalną przemocą wolność. Nie żebraliśmy o nią, lecz okupiliśmy własną krwią.*

Inną kartę września, trzeciego już tej wojny, pisze nasza armia lądowa. Nie ma ona dzisiaj, jak lotnicy, szczęścia bezpośredniego udziału w akcji bojowej. Po chlubnych walkach w Polsce i Francji, od roku, życie jej płynie pozornie spokojnie i zdawało by się bezczynnie. Pozornie, bo straż wybrzeża Szkocji, ciągłe dokształcanie się, zdobywanie nowych horyzontów wiedzy zarówno wojskowej, jak i ogólnej jest nie mniej ważnym frontem, zwłaszcza, gdy ma się do czynienia z groźnym wrogiem nudy i depresji oczekiwania rzeczywistego czynu. "Dziennik Żołnierza" z dnia 1 września pisze w artykule wstępnym:

"*My tworzymy nieliczną dziś armię polską, jesteśmy żywym symbolem niezwyciężonej Polski. My—mając w pamięci dzień 1 września* 1939 *roku—przypominamy światu wartość i prawa Polski.*

W dniu dzisiejszym musimy szczególnie zastanowić się nad naszą rolą i zrozumieć jej doniosłość—a wtedy będzie nam łatwiej przetrwać długie zapewne i ciężkie jeszcze dni na obczyźnie."

W tym zestawieniu wypowiedzi na łamach pism żołnierskich brak słów trzeciego składnika naszych sił zbrojnych, walczącego od początku obecnej wojny bez chwili wytchnienia na morzach i oceanach—brak wypowiedzi pism naszej Marynarki Wojennej. Wiemy, że istnieją wydawnictwa periodyczne ukazujące się na naszych okrętach. Trudno im jakoś znaleźć drogę do nas. Jeszcze tym sposobem prosimy, abyśmy mogli o nich mówić i pisać nie ze słyszenia tylko.

* * *

Słyszy się niejednokrotnie o różnych tzw. "dniach": Książki," "Oświaty," "Czerwonego Krzyża" i t.p., lecz po raz pierwszy zapewne czytelnik pierwszobrygadowych "Nowin" dowiedział się z kroniki tego pisma o "Dniu Artylerii." A odbył się taki właśnie "dzień" *somewhere in Scotland* i to nawet nie wyłącznie polski, ale mieszany, polsko-brytyjski. Najpierw orkiestra brytyjskiej artylerii urządziła w m.p. Dyonu Artylerii I B.S. koncert, wieczorem zaś polscy artylerzyści odwzajemnili się zorganizowaniem zabawy tanecznej, która, jak twierdzą "Nowiny," zgromadziła "tłumy."

Jest to zresztą nie pierwszy wypadek wymiany popisów artystycznych pomiędzy armiami brytyjską i polską, stacjonującą w Szkocji. "Nowiny" z 19 sierpnia zamieszczają np. obszerne sprawozdanie z drugiego już koncertu w wykonaniu sił artystycznych I B.S., który się odbył w Perth i zgromadził około tysiąca pięciuset słuchaczy i widzów. Widzów, ponieważ odtwórczość artystyczna I Brygady nie ograniczyła się wyłącznie do muzyki i słowa. Był nawet i balet: duet taneczny "Kratkowanych Lwiątek," który odtańczył, jak podają "Nowiny" swój "gwoździowy" numer—Zbójnickiego.

W zakończeniu sprawozdania "Nowiny" stwierdzają:

"*. . . koncertu słuchało* 1.500 *osób. Oto poważne osiągnięcie. Większość publiczności stanowili żołnierze brytyjscy. A to jest przecież ważne, przeradza bowiem braterstwo broni w koleżeństwo.*"

B.K.P.



W jednym z m.p. Wojska Polskiego w Szkocji odbyła się wystawa z górą 200 *prac artysty-żołnierza Antoniego Wasilewskiego, zdobywając sobie duże uznanie. Fotografia przedstawia moment otwarcia wystawy w obecności Dowódcy* 10 *Brygady Kawalerii, Lorda Pro vosta i miejscowego społeczeństwa.*

"Lekarz Wojskowy"

Wśród licznego, jak na szczupłą naszą armię przebywającą na terenie W. Brytanii, wojskowego czasopiśmiennictwa polskiego — dzienników i periodyków, należy wyróżnić dwa pisma o charakterze ściśle fachowym, które ostatnio się ukazały w obiegu czytelniczym. Są to: wcześniejsza "Myśl Lotnicza" /o której napiszemy osobno/ i pierwszy numer wznowionego wydawnictwa "Lekarz Wojskowy."

"Lekarz Wojskowy"—wydawnictwo wznowione po dwu latach przerwy, dzięki staraniom Towarzystwa Naukowego Lekarzy Wojska Polskiego w Zjednoczonym Królestwie, jedyne dziś polskie pismo lekarskie, w przedmowie do numeru pierwszego, tak uzasadnia cele swego istnienia:

Drukowane w nim winny być wspomnienia z obecnej wojny, które będą miały wartość nie tylko historyczną, lecz również wykażą należytą sprawność polskiej służby zdrowia w dotychczasowym okresie wojny.

Zdobyte doświadczenia wojenne dadzą się niechybnie wykorzystać indywidualnie i zespołowo.

Innym zadaniem naszego pisma będzie publikowanie prac związanych głównie z obecnym okresem wojennym, a dotyczących zarówno służby zdrowia w jednostkach wojskowych, jak i w cywilnych organizacjach społeczno-lekarskich pracujących dziś w warunkach wojny totalnej, również na linii bojowej.

. . . znajdą się też artykuły ogólno-lekarskie pióra kolegów zatrudnionych w brytyjskich zakładach naukowych, jak również tych, którzy pomimo zrozumiałego braku dostępu dla wszystkich do fachowych warsztatów potrafią jednakowoż wykazać swe uzdolnienia do twórczej i owocnej pracy.

Wyrażamy nadzieję czynnej współpracy z kolegami Czechosłowakami, z którymi łączą nas od dawna więzy naukowe, zadzierzgnięte przez wielkiego Kucerę, równie drogiego nauce czechosłowackiej, jak i polskiej.

Wreszcie "Lekarz Wojskowy" nawiąże styczność z światem lekarskim anglo-saskim, podawać będzie streszczenia z obcego piśmiennictwa, uwzględniając przede wszystkim bieżącą prasę fachową, oraz zdawać sprawę z posiedzeń Towarzystwa Naukowego Lekarzy Wojska Polskiego w Zjednoczonym Królestwie.

Pośród tułaczki wojennej, nasi lekarze nie zaniedbują pracy samokształcenia się, podążania z postępem nauki lekarskiej, dokumentując swój wysiłek twórczy własnym, wydanym bez zapomóg i subsydiów pismem. Inicjatywa ze wszech miar cenna, godna najgorętszego poparcia.

Adres wydawnictwa: G.P.O., Perth, P/75.

Co myślą i piszą Polacy w Ameryce

WOJSKO W ŚWIETLE PRASY

Jedno z pism polskich w Stanach Zjednoczonych ostro atakuje obojętność prasy polskiej w Anglii wobec zagadnień życia wychodźczego, w szczególności wobec prasy polskiego wychodźstwa. "Nie istnieliśmy przedtem—nie ma nas dzisiaj,"—stwierdza ów dziennik, cytując jako dowód artykuł codziennego pisma polskiego w Anglii "Tak myślą Stany Zjednoczone," w którym szczegółowo omówione są reakcje amerykańskie, "ale ani słowa o Polakach i opinii polskiej." Tej "idiotycznej obojętności" przeciwstawia pismo żywe zainteresowanie Polonii Amerykańskiej sprawami Polski na całym świecie. "Nas żywo interesuje życie polskie, gdziekolwiek się przejawia. Łakniemy wiadomości, podajemy je skrzętnie, zbieramy mozolnie, czujemy na sobie wzrok oczu polskich."

Uwag tych nie można jednak uogólniać, rozciągać na cała prasę polską w Anglii. Nie można ich zwłaszcza zastosować wobec prasy żołnierskiej w Anglii. Miała ona i ma stale wzrok zwrócony ku wychodźstwu, czego jednym z dowodów może być choćby szesnastostronicowy numer amerykański "Polski Walczącej." Między prasą żołnierską polską w Anglii, szczególnie jej organem centralnym, a prasą wychodźstwa polskiego w Ameryce ustaliła się już więź żywa i mocna. Zarówno sformułowania ideowe tej prasy, jak zwłaszcza materiał pamiętnikarski z kampanii wrześniowej, norweskiej, francuskiej, obecnej walki lotników i marynarki cieszą się w prasie polskiej na drugiej półkuli niesłabnącym zainteresowaniem.

Jest faktem bezspornym, że prasa żołnierska bije na całej linii wśród Polonii Amerykańskiej prasę literacką i polityczną, bardzo rzadko cytowaną po tamtej stronie oceanu. W przeciwieństwie do tego "Polska Walcząca" jest dziś pismem najczęściej przedrukowywanym w prasie zamorskiej. Cały numer morski, opisy walk we wszystkich kampaniach, artykuły o losie Polaków w świecie, reportaże z życia kraju, głosy programowo-ideowe — oto wszystko, co przedrukowuje prasa polska w Ameryce z "Polski Walczącej."

Ale nie tylko przedrukowuje, ale też solidaryzuje się z tym ideowo. Z wielu komentarzy redakcyjnych zacytujmy tylko głos "Dziennika dla Wszystkich" na marginesie artykułu wstępnego Mariana Kukiela w numerze amerykańskim: "Czego od Polonii Amerykańskiej oczekuje żołnierz polski": "Artykuł ten pod tytułem wyżej podanym ujmuje w prostej, żołnierskiej formie myśli żołnierzy polskich w Szkocji, którzy spodziewają się, że pośpieszymy im z pomocą i to pośpieszymy zaraz. Obyśmy ich nie zawiedli." Tenże sam buffalowski dziennik w innym artykule wstępnym "Rzecznik Polskości" pisze, że żołnierz polski: "stał się najwspanialszym rzecznikiem, najwymowniejszym propagatorem, najdzielniejszym obrońcą sprawy polskiej i samej Polski symbolem i przedstawicielem."

Miarą popularności prasy wojskowej może być taki np. fakt, że "Głos Polski" w Buenos Aires, tygodnik Związku Polaków w Argentynie w jednym tylko z numerów kwietniowych 1941 przyniósł naraz trzy przedruki z "Polski Walczącej": dwa wspomnienia z kampanii francuskiej T. Prus-Bugayskiego, Kamila B. Czarneckiego, i jedno wspomnienie lotnicze. Można by pomnożyć liczbę takich przykładów. Niektóre wspomnienia, zwłaszcza dłuższe, drukowane w "Dzienniku Żołnierza" cieszyły się dużą popularnością, tak np. "Kres wędrówki" Stanisława Koszutskiego przedrukował w całości "Dziennik dla Wszystkich," częściowo "Nowy Świat."

Nie ma w tej chwili tematu bardziej popularnego w prasie naszej w Ameryce, niż wojsko. Jego życiu zarówno w Szkocji jak i Palestynie poświęcone są długie artykuły, obrazujące zarówno jego pracę czysto wojskową, jak i wszelkie najdrobniejsze przejawy życia codziennego.

Cieszy ich szczególnie ta okoliczność, że wojsko nasze pod względem swej liczby stoi na pierwszym miejscu wśród armii wszystkich sprzymierzonych. Pełno jest artykułów o wyczynach lotników. Wszystkie wydarzenia w armii w Szkocji są szeroko komentowane. Zwłaszcza skrzętnie notuje się wszelkie przejawy przyjaźni polsko-szkockiej. Z ilości miejsca poświęcanego sprawie wojska widać, że stało się ono ośrodkiem centralnym zainteresowań Polonii.

PRASA TAJNA W POLSCE

Opór kraju budzi podziw Polonii. Doskonale zdaje ona sobie sprawę z tego, że jest to wkład polski w wojnie nie mniej cenny od wysiłku zbrojnego.

"Gazeta Polska" w Kanadzie przynosi reportaż p.t. "3 miliony Polaków ryzykuje śmierć, by czytać tajne pisma." Przeszło 100 tajnych pism ukazuje się w Polsce, mimo grozy Gestapo i obozów koncentracyjnych. Są to najczęściej tygodniki w nakładzie od 500—15 tysięcy. Każdy numer pisma nielegalnego czytany jest przez przynajmniej 10 razy większą ilość ludzi, niż normalne gazety. Jeśli przeciętny nakład określimy ostrożnie na 3.000 da to sumę 300.000 egzemplarzy pism tajnych czyli 3.000.000 czytelników. Wszyscy ci ludzie czytając te pisma ryzykują śmierć. Kilkunastotysięczna armia kolporterów tych pism /bo jeden człowiek przeciętnie nie może rozprowadzić więcej jak 20—30 egzemplarzy/ to prawdziwy "legion śmierci."

Pisma te obok przeglądu wiadomości z frontów, zawierają kilka artykułów politycznych. Ta publicystyka prasy nielegalnej w Polsce jest oddziaływaniem wychowawczym o głębokim podłożu ideowym. Zasada bezkompromisowej walki z okupantem jest ideą kierowniczą i naczelną tej publicystyki, która będzie stanowić najbardziej bohaterską kartę dziejów polskiej prasy. Poszczególne pisma tajne kolportują specjalne broszury o objętości od 16—20 stron poświęcone już całkowicie zadaniom wychowawczym, jak "Kodeks Polaka" lub "Wskazówki dla kół samokształceniowych."

Tak to zdławione przez okupanta życie polityczne i oświatowe przeszło w podziemia, znajdując swe odbicie w prasie tajnej. Jej redaktorzy, współpracownicy i kolporterzy to prawdziwi Żołnierze Polski podziemnej.

STRATY KULTURALNE KRAJU

Opinia Polonii jest na nie szczególnie wrażliwa. Cechę wszelkiego prawdopodobieństwa ma wiadomość brazylijskiego korespondenta "Nowego Świata" o śmierci dwóch wybitnych malarzy krakowskich Kazimierza Pochwalskiego i Wincentego Wodzinowskiego. Jest ona zaczerpnięta z prywatnej pocztówki z kraju.

Prawdziwe są niestety także wiadomości o śmierci dwóch profesorów krakowskich: powtórzona za prasą niemiecką wieść o śmierci poety i profesora historii literatury ukraińskiej w Uniwersytecie Jagiellońskim Bohdana Łepkiego i za "Gońcem Obozowym" w Szwajcarii o śmierci Arnolda Bollanda, organizatora krakowskiej Akademii Handlowej. Jego śmierć stoi niewątpliwie w związku z osadzeniem profesorów krakowskich w obozie koncentracyjnym w Oranienburgu, skąd wyszedł on zimą 1940 zrujnowany nerwowo. Dotychczasowa lista 18 profesorów powiększyła się więc o nowe nazwisko.

Natomiast z dużymi zastrzeżeniami jako wiadomość niesprawdzoną należy przyjmować relacje "Dziennika dla Wszystkich" powtórzone za "*Journal de Genève*" o śmierci w czasie walk rosyjsko-niemieckich grafika Stanisława Chrostowskiego koło Grodna i Tadeusza Kulisiewicza podczas nalotu na Włodzimierz Wołyński.

W zakresie strat materialnych bolesną jest wiadomość zaczerpnięta z pism szwedzkich o konfiskacie trzech firm wydawniczych w Warszawie: "Książnicy Atlas" "Roju" i Mortkowicza przejętego przez Albert Lange Verlag z Berlina.

KSIĄŻKA POLSKA W AMERYCE

Mimo pobytu dość znacznej grupy intelektualistów na drugiej półkuli, zarówno pisarzy jak uczonych, polski ruch wydawniczy jest tam, jak dotąd, bardzo nikły. Marta Wańkowicz, córka autora "Na tropach Smętka," wydała nakładem "Związku Polek," pamiętnik sanitariuszki z okresu klęski wrześniowej p.t. "W szpitalu pod dwoma okupacjami." Zasłużony dobrze na polu badań nad przeszłością wychodźstwa polskiego w Ameryce kustosz Mieczysław Haiman opracował "Historię polskich rzymsko-katolickich parafij w archidiecezji filadelfijskiej," ważny przyczynek dla historii polskich skupisk. W przygotowaniu jest broszura angielska o badaniach prehistorycznych prof. Kostrzewskiego.

OCENA PAKTU POLSKO-ROSYJSKIEGO

Pisma amerykańskie docierają tu do nas z dużym dość opóźnieniem. Trudno więc w tej chwili dać pełny obraz ustosunkowania prasy wychodźstwa wobec najważniejszego wydarzenia politycznego chwili. Jedno w każdym razie zarysowuje się jasno: niejednolitość opinii prasowej. Z jednej strony mamy: "Dziennik dla Wszystkich" w Buffalo, "Dziennik Zwiazkowy" w Chicago, "Gazetę Polską" w Kanadzie, które popierają krok rządu polskiego, z drugiej "Nowy Świat" i "Dziennik Polski" w Detroit, które gwałtownie atakują wszystkich zwolenników umowy.

"Dziennik dla Wszystkich" w artykule pod znamiennym tytułem "Bez sentymentów" tak ujmuje swoje stanowisko:

"Nie ulega wątpliwości, że inicjatywa rządu gen. Sikorskiego była bardzo na czasie, a stanowisko, jakie zajął w sprawie porozumienia bardzo rzeczowe, pozbawione sentymentów niepotrzebnych, a oparte jedynie i wyłącznie na realnym podejściu do sprawy."

"I dobrze się stało, że rząd polski nie upierał się przy prestiżowych momentach, że stanął na stanowisku praktycznym, że do sprawy podszedł bez żadnych zbędnych sentymentów, bez haseł, a jedynie ograniczył się do rzeczy koniecznych moralnie, a cały nacisk położył na praktycznych walorach."

"Nowy Świat," reprezentujący sfery zbliżone do polskiego regimu przedwrześniowego, piórem Piotra Yollesa atakuje gwałtownie rząd polski za zawarcie umowy. Choć uważa, że "wojna rosyjsko-niemiecka jest dla sprawy polskiej korzystna, bo osłabi jedną i drugą stronę" to z drugiej strony ubolewa że:

"w tej sytuacji Rząd Polski nie zajął zdecydowanego stanowiska.

1. Nie przygotował żadnego planu —przez cały czas a wszak to było jedynym zadaniem rządu.

2. Rząd Polski nie walczył o to, by Anglia, nasz sojusznik, w chwili krytycznej postawiła uznanie Polski za warunek."

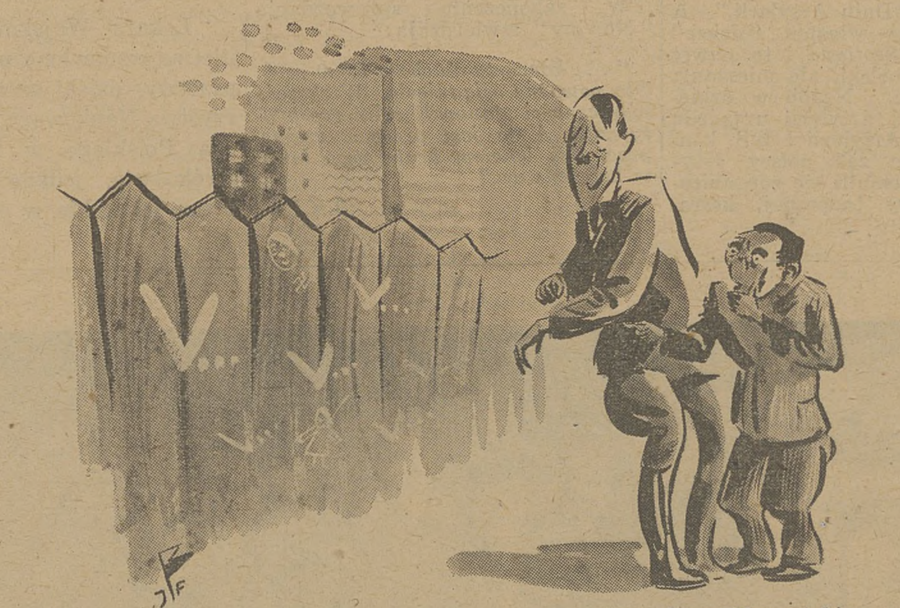
A w innym artykule /"Część Polski"/, tenże sam autor tak dalece posunął się w swym zacietrzewieniu, że wprost twierdzi:

"Uważamy, że tworzenie armii polskiej w Rosji w tych warunkach jest lekkomyślnością."

W tym punkcie każdy przyznać musi, że "Nowy Świat" całkowicie rozminął się w najżywotniejszej sprawie nietylko z opinią żołnierzy polskich, ale i wogóle wszystkich Polaków w świecie. Źle jest, gdy zacietrzewienie polityczne bierze górę w sprawie zasadniczej dla Polski w obecnym momencie. Sprawa tworzenia armii polskiej w Rosji powinna być zagadnieniem bezspornym, nie może stanowić atutu w rozgrywkach politycznych.

Adam Ordęga

SPIS RZECZY.



rys. Jerzy Faczyński

WYDAJE BIURO PROPAGANDY I OŚWIATY.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. 1-e piętro.
Redaktor przyjmuje w soboty od godziny 11-ej—13-ej.
Przedruk dozwolony tylko za podaniem źródła.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.15 0d. bez względu na stronę, drobne ogłoszenia—sh.6 0d. za 1 cal. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy i osób 50% taniej.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506. Adres Agenta dla ogłoszeń angielskich (Advertisement Offices) 44, Brook Street, W.1. Tel., MAYfair 6543.

Printed for the "Polska Walcząca," by St. Clements Press (1940), Ltd., Portugal St., Strand, W.C.2.